MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 44 WARSZAWA, 24 PAŹDZIERNIKA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

W RZEMIOŚLE—CHAOS

POLSKA ma rzemieślników, zaopatrzonych w karty rzemieślnicze, — wedle statystyki z końca 1935 r.—346,871. Prócz tych prawidłowo wykonujących swój zawód rzemieślników pracuje jeszcze jakieś 100 tysięcy rzemieślników bez kart rzemieślniczych t. j. rzemieślników nielegalnych i chałupników. Rzemieślnicy wraz z terminatorami, czeladnikami i pomocnikami stanowią potężną armię około 750 tysięcy ludzi. Rzemiosło daje chleb jakimś dwom milionom osób.

Rzemiosło jest mocno zażydzone. Żydzi opanowali około 30% warsztatów rzemieślniczych, zwłaszcza w miastach województw centralnych i wschodnich oraz w stolicy. Mimo to rzemiosło obok rolnictwa jest najbardziej polską warstwą w naszym organiźmie gospodarczym. W przemyśle i w handlu jest znacznie gorzej.

Rzemiosło ma w naszych polskich stosunkach specjalne znaczenie. Polska jest krajem, znanym z braku kapitału i z nadmiaru rąk. Rozwój rzemiosła i drobnego przemysłu—to najprostsza odskocznia dla wielkiej rzeszy ludzi. Warsztat rzemieślniczy stoi głównie pracą i inteligencją człowieka. Kapitał zakładowy i obrotowy może być stosunkowo skromny i rość w miarę rozwoju warsztatu. Finansowanie rzemiosła jest nawet w naszej rzeczywistości możliwe. Np. obecne potrzeby kredytowe rzemiosła oceniają Izby rzemieślnicze całej Polski na 80 mil. zł. Jedna tylko firma przemysłowa „Scheibler i Grohman" w Łodzi pochłonęła ponad 120 mil. zł. kredytu publicznego.

Z rzemiosła idą wyżej do przemysłu małego, średniego i wielkiego ci, którym los sprzyjał. Los kowala i ślusarza Zieleniewskiego opisał lat temu kilka w ciekawej publikacji dr. W. Zaleski. Poprzez rzemiosło i drobny przemysł wiedzie najpewniejsza droga do unarodowienia wielkiego przemysłu, do stworzenia własnego polskiego o polskie kapitały, o polskie surowce, o polskie mózgi i polskie ręce opartego, wielkiego przemysłu.

Dlatego musimy żywo interesować się tym wszystkim, co się dzieje w rzemiośle.

A dzieje się tam — źle. I dawniej nie było tam zbyt dobrze. Od r. 1927, gdy wyszła nowa ustawa przemysłowa, i od r. 1934, gdy wpływowy poseł rzemieślniczy z B. B. Idzikowski decydował o organizacjach rzemieślniczych, a którym dał wyraz w nowej ustawie (zanim przeszedł na zasłużony odpoczynek do więzienia), rzemiosło przechodzi poważny kryzys nietylko gospodarczy, ale i moralny. Rozbite zostały cechy, a stworzone Izby rzemieślnicze. Wybory do Izb rzemieślniczych dały wszędzie wyniki jednakowe i jednomyślne — wybrano wyłącznie zgóry upatrzonych działaczy sanacyjnych i żydowskich, usunięto działaczy niezależnych.

Mam w ręku sprawozdanie Izby rzemieślniczej krakowskiej za r. 1936. A jednak sprawozdanie nawet tak pewnej Izby dowodzi, jak źle się obecnie wśród rzemieślników dzieje. Jeden z rzemieślników wręcz pisze: „Cechy, ograniczone w swej działalności na rzecz Izb rzemieślniczych, zwłaszcza w zakresie egzaminów czeladniczych i mistrzowskich ustosunkowały się do Izb zimno i obojętnie. Nowopowstałe Izby nie zdążyły nawiązać kontaktu z rzemieślnikami, przeto i stosunek samych rzemieślników do Izby rzemieślniczej był zgoła obojętny. W tych warunkach między Izbą, jako instytucją oficjalną, przymusową rzemiosła, a cechami jako wolnymi organizacjami rzemieślniczymi, jako lokalnymi komórkami organizacyjnymi rzemiosła, wytworzyła się pustka, wielce niekorzystna dla samego rzemiosła". W dalszym ciągu znajdujemy zarzuty, że na terenie Izby krakowskiej conajmniej kilka tysięcy osób wykonuje nielegalne rzemiosło, że Izba fabrykuje dyspensy od kwalifikacji zawodowych przy wydawaniu kart rzemieślniczych, że toleruje fuszerów, że pobiera

za wysokie opłaty przy egzaminach, że budżety Izby są za wysokie, że odebrano cechom możliwość działań gospodarczych, a nie powołano do życia nowych związków i zrzeszeń gospodarczych, że zlikwidowano i związki cechów i ich majątek, że dopuszczono do bankructwa banków rzemieślniczych w Poznaniu, w Krakowie i Lwowie, że dotąd nie zorganizowano w sposób właściwy i praktyczny kredytu rzemieślniczego.

Poczet win i zarzutów jest — jak widzimy — długi i poważny. Czy słuszny? W znacznym stopniu niewątpliwie słuszny!

Cechy są istotnie rozbite. W województwie Krakowskim mamy ponad 22 tysiące warsztatów rzemieślniczych. Do cechów należy zaledwie 5700 rzemieślników czyli 25%. Izby rzemieślnicze są biurokratycznymi urzędami. Rzemieślnicy buntują się przeciwko nim. Dość przypomnieć procesy prezesa Izby warszawskiej, posła Snopczyńskiego, votum nieufności rzemieślników krakowskich, uchwalone na wiecu, prezesowi Izby krakowskiej, posłowi Jahodzie-Żółtowskiemu, usunięcie prezesa Izby lwowskiej, proces inż. Namysła w Poznaniu. Bank Gosp. Kraj. od 4 lat przeznacza poważną sumę (obecnie 10 mil. zł.) na kredyty dla rzemieślników. Bank Gosp. Kraj. może śmiało przeznaczyć sumę 10 razy większą — przy obecnej technice rozprowadzania tych kredytów nawet 10% kredytów nie dochodzi do rzemieślników. Rzemiosło rozbite, skrócone, zobojętniałe albo niedopuszczane do steru, straciwszy swe banki rzemieślnicze, nie zdobyło się na nowe instytucje kredytowe. Komunalne Kasy Oszczędności wolą wolne kapitały lokować w bankach skarbowych,— kłopotów nie ma żadnych, a zysk pewny — i od zorganizowania kredytów rzemieślniczych usuwają się. Rzemieślnicy stracili w czasie kryzysu kapitał obrotowy, potrzebują kredytu i -- nigdzie otrzymać go nie mogą, B. G. K. domagał się dotąd zabezpieczenia hipotecznego. Ogół rzemieślników słusznie odpowiada: biednemu zawsze wiatr w oczy.

Polityka handlowa rządu nasuwa również wiele zastrzeżeń. Przed paru laty niżej podpisany sporządził z oficjalnych wykazów spis przedmiotów rzemieślniczych, sprowadzanych z zagranicy za lata 1934 1933 i przedłożył go w Sejmie ministrom ówczesnego rządu. Sumy, jakie za ten import wędrowały z kraju, sięgały kilkudziesięciu milionów zł. rocznie. Każdy milion par butów, fabrycznie produkowanych, sprowadzanych z zagranicy, powoduje bezrobocie 5000 warsztatów szewskich. Nic się dotąd na tym odcinku nie zmieniło. Kto ciekaw, co obecnie w r. 1937 sprowadzamy z zagranicy, niech zajrzy do umów gospodarczych Polski n. p. z Rzeszą Niemiecką, z Austrią lub Szwajcarią.

Główny zarzut ogółu rzemieślników — poza rozbiciem wypróbowanych wiekami cechów — jest usuwanie niezależnych działaczy rzemieślniczych i ciągły nacisk działaczy rządowych i samorządów. Równorzędnie idą zarzuty nowe: brak dostatecznego rozgraniczenia rzemieślników żydów oraz brak norm dość ścisłych, rozróżniających prawa rzemieślników kwalifikowanych od rzemieślników nielegalnych i chałupników.

Dezorganizacja w rzemiośle posunęła się tak daleko, że władze państwowe postanowiły wkroczyć i na nowo stosunki w rzemiośle unormować przez zmianę ustawy przemysłowej. Izbom rzemieślniczym rozesłane już zostały projekty nowelizacji ustawy przemysłowej,

Projekty rządu odznaczają się śmiałością, nowością i oryginalnością pomysłów. Z izb przemysłowo-handlowych ma być wydzielony drobny przemysł i przydzielouy do izb rzemieślniczych. Samo rzemiosło ma być podzielone na trzy grupy: koncesjonowane, kwalifikowane — reglamentowane i wolne. Do grupy rzemiosła koncesjonowanego zalicza projekt rządowy te działy wytwórczości, które ze względu na bezpieczeństwo publiczne i interes społeczny winny wykazywać należyte kwalifikacje techniczne i moralne. Są to zawody: instalacji wodociągowych, kanalizacyjnych, centralnego ogrzewania, gazowych i elektrycznych. Należą tu również kamieniarstwo, murarstwo, ciesielstwo, drukarstwo, litografia, chemigrafia, rusznikarstwo i rzeźnictwo rytualne. Przez rzemiosło kwalifikowane rozumie projekt rządowy te działy, które wymagać będą specjalnych dowodów uzdolnienia. Należeć tu mają: blacharstwo, kowalstwo, ślusarstwo, tokarstwo, stolarstwo, piekarstwo, rzeźnictwo, fryzjerstwo, szewctwo, krawiectwo i t. p. Wszystkie inne działy rzemiosła należeć mają do t. zw. rzemiosła wolnego. Koncesje dla I grupy mają wydawać władze przemysłowe. Izby rzemieślnicze mają wydawać karty rzemieślnicze dla grupy II, i prowadzić rejestr grupy III. Poza tym projekt noweli przywraca trochę praw cechom, przewiduje przymus, ale zabrania związków cechów.

Dotychczas ogłoszone uchwały zebrań rzemieślniczych sprzeciwiają się jednomyślnie wyjęciu grupy III z pod dowodu uzdolnienia. Pomysł „rzemiosł wolnych" uważany jest za sproletaryzowanie tych grup rzemieślniczych, za wydanie ich na łup konkurencji fuszerów i żydów. Rzemiosło wręcz przeciwnie domaga się ochrony przed fuszerami i nielegalną konkurencją. Wszystko wskazuje na to, że projekt rządowy napotka na zdecydowany opór rzesz rzemieślniczych, a w konsekwencji będzie wycofany albo — przeredagowany.

Rzemieślnicy domagają się ograniczenia prerogatyw Izb rzemieślniczych, przywrócenia cechom praw do wychowania i klasyfikowania narybku i do zajmowania się gospodarczą stroną swojej branży, do wprowadzenia przymusu należenia do cechu, swobody doboru starszyzny cechowej bez nacisku władz samorządowych i państwowych oraz należytego zabezpieczenia prawa wykonywania zawodu tylko przez rzemieślników kwalifikowanych. W znacznej mierze są to postulaty słuszne. Dodajmy jednak dla całości obrazu, iż równocześnie muszą być załatwione dwa inne postulaty społeczno- gospodarcze: część rzemiosła zmechanizowanego zaliczyć wypadnie do grupy przemysłowej, z grupy zaś rzemiosła nielegalnego i chałupniczego stworzyć trzeba nową grupę o ściśle określonych prawach.

Jesteśmy, jak widzimy, dopiero u progu do zasadniczej dyskusji nad zadaniami i organizacją rzemiosła w Polsce. O ile podział na grupy, prawa i przywileje rzemieślnicze nadają się do dyskusji głównie zawodowej i fachowej, to reszta zagadnień, jaka rola rzemiosła w państwie i stosunek państwa i samorządu do niego, należy już do społeczeństwa. Swoim znaczeniem wybiegają one daleko poza interesy rzemiosła. Dlatego i my do tej dyskusji dorzucamy nasz głos.

STANISŁAW RYMAR.

Z CYKLU „POLSKA NA MORZU".

WYPRAWA MORSKA ŁAPIŃSKIEGO

WŚRÓD WYSIŁKÓW powstańczych 1863/4 r. są do odnotowania dwa wysiłki morskie. Jednym z nich jest wyprawa desantowa na pruskie wybrzeża, jaką urządził Teofil Łapiński, a drugą — tworzenie polskiej marynarki kaperskiej, rozpoczęte przez Władysława Zbyszewskiego. Treścią rozprawy niniejszej jest rzucenie nowego snopu światła na nasz pierwszy wysiłek morski. Wysiłek ten posiada dość bogatą, jak na źródła do poszczególnych wypraw powstańczych, literaturę, albowiem został opisany szczegółowo przez inicjatora i dowódcę wyprawy, Teofila Łapińskiego, w jego pamiętnikach, drukowanych we lwowskiej „Gazecie Narodowej" (nr nr 189 — 227 z 1878 r.), a tłumaczonych w streszczeniu w petersburskim „*Istoriczeskom Wiestnikie*" (nr 1 z 1881 r.), i uzupełniony dodatkowo w broszurze Stanisława Polesa, wydanej w języku szwedzkim w Kopenhadze i Malmö w 1863 r. Jednakże obydwa te źródła podstawowe posiadają poważne braki. Wyprawa Łapińskiego, jak wiadomo skończyła się niepowodzeniem, a za wyniki odpowiada zawsze inicjator i kierownik, przeto w danym wypadku Łapiński chce się rehabilitować i, z natury rzeczy, stara się przejść do porządku dziennego nad obciążającymi go szczegółami. Wiarogodność Polesa jest podejrzana jeszcze bardziej. Przede wszystkim był to żyd nazwiskiem Tugendhold, który, jak twierdził rewolucjonista rosyjski Aleksander Herzen, zajmował się szpiegowaniem wyprawy. Następnie, nie brał on udziału w niefortunnym zakończeniu desantu. Natomiast znany historyk rosyjski, Wiaczesław Połonskij, w wydanym niedawno swym dziele „*Matieriały dlia biografji* M. Bakunina" (Leningrad — Moskwa, 1933 r.), podaje w nim dokument pierwszorzędnej wagi w postaci prywatnego listu jednego z uczestników desantu, Francuza, Henryka Rougemont'a, opisujący bardzo szczegółowo ustęp najbardziej niejasny u Łapińskiego, a pominięty zupełnie przez Polesa, mianowicie: nieudane wylądowanie desantu.

Zanim jednak przejdziemy do podania treści tego listu, należy uprzytomnić sobie genezę i przebieg chronologiczny samej wyprawy. Tu można w całej pełni korzystać zarówno z pamiętników Łapińskiego, jak z broszury Polesa, gdyż pokrywają się one zasadniczo.

Genezą urządzenia wyprawy morskiej na teren, objęty powstaniem, były duże utrudnienia, jakie napotykał Rząd Narodowy w dostawie broni, amunicji i zaopatrzenia wojennego, wysyłanych drogą lądową na ziemie zaboru rosyjskiego. Wywiad rosyjski działał nader sprawnie, pomoc pruska w tropieniu przesyłek powstańczych była bardzo skuteczna, a gabinet wiedeński również sekundował Petersburgowi. Właśnie w marcu 1863 r. udało się Rządowi Narodowemu nabyć w Anglii znaczny zapas broni i zaopatrzenia wojennego i szło o możliwie szybkie i pewne dostarczenie go do oddziałów powstańczych. Transport ten składał się: z 3 dział lekkich, 1000 karabinów, 750 szabel, 200 lanc oraz 3300 pocisków artyleryjskich, 100.000 nabojów karabinowych i 700 centnarów prochu, wreszcie 1000 ładownic, 2000 płaszczów, 500 par butów, 500 koszul flanelowych, 500 kaszkietów, 1000 kepi i 50 siodeł. Tego rodzaju cenny ładunek bojowy był prawie niemożliwy do przemycenia go przez granicę prusko-rosyjską lub austriacko-rosyjską, więc też agenci Rządu Narodowego w Angji: Ćwierciakiewicz i Demontowicz za namową oficera angielskiej marynarki wojennej, księcia Jana Sapiehy, zdecydowali się przesłać cały transport drogą morską z wyładowaniem go na wybrzeżu litewskim, koło Połągi.

Dodać należy, że ruch powstańczy na północnych kresach Rzeczypospolitej (dzis. Litwa Kowieńska) szerzył się bardzo gwałtownie, a wyznaczony na naczelnika oddziałów powstańczych w Wileńszczyźnie Zygmunt Sierakowski miał urządzić marsz dywersyjny do wybrzeża morskiego. Obaj agenci Rządu Narodowego zafrachtowali za 25.000 zł. parowiec angielski „*Ward Jackson*", kursujący dotychczas między Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi, którego kapitan Robert Weatherley zobowiązał się do dostarczenia całego transportu na brzegi litewskie. Kierownictwo wojskowe nad transportem zostało powierzone przebywającemu podówczas w Londynie Teofilowi Łapińskiemu, który odznaczył się chlubnie w powstaniu węgierskiem 1848 r. oraz w walkach na Kaukazie, gdzie zasłynął wśród górali pod imieniem Tewlik-beja. Razem z transportem postanowili agenci wysłać zgłaszających się licznie ochotników, których zebrało się 152 (w tym 98 Polaków, 22 Francuzów, 16 Włochów, 3 Anglików, 3 Niemców, 2 Belgijczyków, 2 Rosjan, 2 Szwajcarów, 1 Holender i 1 Kroat). „*Ward Jackson*", obserwowany przez przybyłą specjalnie do Londynu korwetę rosyjską, odkotwiczył 25 marca o 8-ej 30 min., a w trzy dni później zawinął do Helsingborgu nad Zundem. Tam dowiedział się Łapiński od przybyłego rewolucjonisty rosyjskiego Bakunina (jednego z twórców anarchizmu) oraz Waleriana Kalinki, późniejszego słynnego historyka, a podówczas emisariusza Rządu Narodowego, że Sierakowski nie jest jeszcze na wybrzeżu, oraz że pod Połągą skoncentrowano znaczne siły rosyjskie (1 pułk kozaków, 6 kompanii strzelców i półbaterię artylerii). Poza tym lody ruszyły na północy Bałtyku, i zimująca flota rysyjska mogła w każdej chwili rozpocząć kampanię.

Tego rodzaju wiadomości tak podziałały na kapitana Weatherley'a, że doprowadził „*Ward Jackson'a*" tylko do Kopenhagi i tam go opuścił. Łapiński nie dał jednakże za wygraną i postanowił udać się ze swoim statkiem na szwedzki Oeland i tam czekać lepszej pory. Dodać należy, że, o ile rząd duński, nastrojony od czasów Katarzyny II-ej filo-rosyjsko, nie sprzyjał powstaniu, o tyle rząd szwedzki, marzący o odzyskaniu utraconej Finlandii, prawie jawnie oświadczał się przeciwko Rosji. Łapiński zakontraktował na miejsce zbiegłego Weatherley'a kapitana Poeton'a, przysłanego przez kompanię, do której „*Ward Jackson*" należał i udał się w dalszą podróż. Przed zawinięciem na Oeland powstańcy zaszli do Malmö i tam 30 marca stanęli na kotwicy. Statek, pomimo ucieczki kapitana, był w dalszym ciągu pod ban-

derą angielską, chroniącą go jako tako przed okrętami rosyjskiemi. Atoli postój w Malmö przeciągnął się do 3 czerwca.

Rząd rosyjski był już doskonale poinformowany o celu podróży „*Ward Jackson'a*" i tylko czekał, aby on odkotwiczył z portu. Fregaty cesarza Aleksandra II-go krążyły nieustannie koło wybrzeży szwedzkich, więc wyjście na Bałtyk rokowało niechybną zgubę. W dodatku podczas nieobecności Łapińskiego, który wyjechał na parę dni do Kopenhagi, zastępca jego, były rotmistrz huzarów rosyjskich, hrabia Tyszkiewicz, przeprowadził „*Ward Jackson'a*" z przedporcia, gdzie statek stał, jako naładowany materiałami wybuchowymi, do portu wewnętrznego. Oczywiście, kapitanat portu kazał natychmiast rozładować „*Ward Jackson'a*" i cały zapas broni, amunicji i zaopatrzenia wojennego przenieść do składów wojskowych. Cały więc transport wojenny przepadł dla powstania, bo, chociaż Szwedzi patrzyli bardzo przez palce na obecność naładowanego kontrabandą wojenną statku w przedporciu, lecz na jego postój w porcie wewnętrznym zgodzić się nie mogli zarówno ze względów bezpieczeństwa, jak z prawdziwego już zatargu z Rosją, która natychmiast zażądała rozbrojenia statku i poparła to żądanie skierowaniem fregaty pod Malmö. Teraz, kiedy transport był uwięziony, pozostawał jeszcze oddział powstańczy. Łapiński, nie mogąc dostarczyć transportu, postanowił chociaż wysadzić oddział.

Tu właśnie zaczyna się szczegółowe opowiadanie Henryka Rougemont'a — „Henryk Rougemont, student, do Eryka Isvar'a literata. Paryż. Bulwar Montparnasse nr 151.

Piszę do Pana przybity. Straciłem wszystkich przyjaciół i cudem tylko uratowałem się. Oto są fakty. Dnia 4 czerwca wypłynęliśmy z Malmö na małym parowcu „Fulton", nie wiedząc, dokąd zdążamy. Wskutek sekwestru na „*Ward Jackson'a*", nasza broń i zaopatrzenie wojenne pozostały w Szwecji. Byliśmy przekonani, że wyprawa skończona, i że pułkownik Łapiński odstawia nas do Londynu, aby tam wyprawę rozpuścić.

W dwie godziny po wypłynięciu z Malmö zakotwiczyliśmy pod Kopenhagą obok doskonałego szkunera „*Christina Lorenza*", nie wiedząc o naszych dalszych losach. O godzinie 16-ej przybył na „Fultona" p. Demontowicz, komisarz Rządu Narodowego, który w krótkich słowach zakomunikował nam, że zdobywamy się na ostatni wysiłek, mianowicie, na bardzo niebezpieczne wylądowanie na mierzei Kurońskiej, prawie w polu obstrzału dział kłajpedzkich. Wiadomość ta była przyjęta przez nas z wielkim entuzjazmem.

O godzinie 22-ej „*Christina Lorenza*" pod pełnemi żaglami pędziła na północ Zundu, przez co zdawało się, że odstawia nas do Anglii. Wtem około 24-ej z hukiem wpadł do morza łańcuch kotwiczny, i znaleźliśmy się burta w burtę z drugim szkunerem „Emilia". Jak prawdziwi korsarze, wdrapaliśmy się na liny u burt, wznosząc okrzyk „Niech żyje Polska!".

„Emilia" była załadowana bronią i amunicją, nabytą w Kopenhadze. W mgnieniu oka ułożyliśmy bagaże, i szkuner znów przeszedł przed Kopenhagą, nie dając żadnego powodu do podejrzeń. Co się tyczy „*Christina Lorenza*", to statek ten w istocie wyruszył do Londynu, obserwowany prawdopodobnie przez Rosjan, podczas, gdy my sami spokojnie i bezpiecznie płynęliśmy po Bałtyku, mijając fregaty nieprzyjacielskie.

Wieczorem dnia 11 czerwca znaleźliśmy się koło brzegów zalewu Kurońskiego. Italo-Francuzi i 12 polskich kawalerzystów mieli wylądować pierwsi. Mówiono, że trzeba będzie wdać się w walkę z celnikami pruskimi, a przez ten czas reszta ochotników wyląduje, weźmie łodzie na plecy i przejdzie z niemi przez mierzeję; tam znów spuści się łodzie na wodę i przeprawi na ląd stały. Od granicy prusko-rosyjskiej byliśmy oddaleni o dwie godziny drogi.

Wszystko było obliczone w taki sposób, aby do tej granicy dotrzeć w ciągu nocy. Dzień powinien był nas zastać na Żmudzi wśród oczekujących nas powstańców. Jak Pan widzi mieliśmy wykonać coś w rodzaju wyprawy Garibaldiego na Buenos Aires.

O godzinie 22-ej wielka łódź, zakupiona przez pułkownika w Hamburgu, została spuszczona na wodę. Miała ją holować druga łódź, na której znajdowali się p. Łapiński i jego oficerowie. Brzeg był widoczny w odległości 3 kilometrów. Niech Pan zauważy, że mogliśmy na „Emili" podejść znacznie do brzegu. Woda była głęboka, aż do samego wybrzeża.

Zaledwie weszliśmy do łodzi, gdy zaczęła się do niej wlewać woda przez dno. Jednak opanowała nas radość, i wielu z młodych wojaków, którym za kilka minut sądzone było umrzeć, żartowało z przygotowanej dla nas kąpieli dla nóg.

Była późna noc, i woda silnie falowała pod wpływem bryzy. Woda tymczasem w łodzi dochodziła nam już do kolan. Wioślarze, widząc niebezpieczeństwo, na które wskazywały okrzyki trwogi najmłodszych z pośród nas (byli i 16-letni), wiosłowali z całej siły, lecz szliśmy pod wiatr, i łódź była prawie pełna.

Była to chwila pełna grozy, 32 ludzi wznosiło z rozpaczą wzrok ku niebu, a Bóg słuchał ich niemych i uroczystych modlitw.

W tem fala pokryła wszystko.

Rozległo się kilka okrzyków i w ciągu paru minut widać było dzielnych pływaków, walczących mężnie, lecz bezskutecznie z wściekłością fal, Łódź, na której byli nasi oficerowie, ta która nas holowała, przecięła hol i uciekała, wiosłując, od tej przerażającej sceny.

Odwiązałem mój plecak i jeden z pierwszych wyskoczyłem z łodzi, Jednak na brzuchu miałem 60 nabojów, które mi bardzo przeszkadzały w pływaniu. To też przypomniałem sobie o moim kordelasie. Płaszcz i buty też mi bardzo przeszkadzały, Wtedy, płynąc lewą ręką, rozciąłem prawą pas od ładownicy i rękawy płaszcza. Zostałem tylko w spodniach i moich okropnych butach, ale nie opuszczała mnie pełna energia. Ciągle płynąłem. Było nas jeszcze 15 ludzi na powierzchni morza.

Wtem zauważyliśmy kil łodzi. Szybko dopłynęliśmy do niej, jak do deski ratunku, lecz łódź, uchwycona przez zrozpaczonych pływaków tylko z jednej burty, przewróciła się, pociągając nas w głębinę, która pochłonęła większą część rozbitków. W tym momencie zginął Chaine, płynący obok mnie. Miałem zaufanie do jego siły i męstwa, Prawdopodobnie wciągnęli go na dno tonący. Na powierzchni morza znajdowało się nas zaledwie

sześciu. Koledzy pozostawieni na statku, odpowiadali na nasze okrzyki, jednak ciemności przeszkadzały im nas dojrzeć. Wreszcie łódź, o której mówiłem, kierowana przez dwóch dzielnych marynarzy ze szkunera, zdołała nas wyłowić.

Niebawem spotkaliśmy jeszcze dwóch pływaków. Z 32 ludzi tylko 8 zdołało się uratować. Trzymaliśmy się na wodzie przez dwie godziny. Nasi przyjaciele przywitali nas na pokładzie z szaloną radością i podziwem.

W trzy godziny potem stanęliśmy na Gotlandzie, gdzie szwedzka gwardja narodowa wzięła nas za piratów i wysłała do wsi Klinthamn. Przebywaliśmy tam dopóty, dopóki korweta *„Ockrad"*, wezwana telegraficznie, nie zabrała nas i nie odstawiła do Woolwich, gdzie znajdujemy się obecnie.

Jesteśmy więc w Anglii, dosłownie przymierając z głodu. Otrzymujemy dziennie 1 szyling i 3 pensy, co starczy zaledwie na nędzny obiad. Pułkownik nie traci nadziei, lecz ja nie mam więcej do niego zaufania. Mógłbym przedstawić masę dowodów, o których opowiem ustnie.

Nie mam bielizny, spodni i płaszcza. Pułkownik nie ma ani grosza. Zamoyski radzi nam zamiatać ulice w Londynie, ale to nam nie wypada. Ratujcie mnie, Pan, Giraud i Bompard! Ja chcę zginąć po bohatersku za Polskę, a nie umierać tutaj z nędzy.

Oto nazwiska tych, co zginęli: Gilliard, Marchera, Dominici, Robert, Lonjean, Hanetelle, D'Arsonval, Delfiere, Schelamberg, Glandman, Duireau, Chaine, Thibaud, Ellereaux, Trafico, di Francesci, Kwiatkowski, Poneski, Wisiewski, Sosiewicz, Zelnerowski, Borowski, Piotrowski, Wieśnieński. Ocaleni: Chaplaix, Rougemont, Pear, von Siegenfeld, Payoth, Biller, Polaczek, Cholewa.

(—) Henryk Rougemont.

Woolwich. 27 czerwca.

List ten opisuje wyraźnie, w jaki sposób odbywało się wysadzanie desantu. Szkuner „Emilia" podszedł o zmroku pod mierzeję Kurońską, zakotwiczył o 3 klm. od brzegu i przed północą spuścił dwie łodzie. W jednej siedział dowódca wyprawy, pułkownik Łapiński ze swym sztabem, a w drugiej — pierwszy odział desantowy, złożony z 32 ludzi. Obie łodzie wiosłowały, a sztabowa holowała w dodatku desantową. Było bardzo ciemno, a od lądu dęła bryza. W łodzi desantowej okazał się przeciek, i poszła ona na dno prawdopodobnie w połowie drogi między statkiem i wybrzeżem, bo na pokładzie słyszano wyraźnie wołania o pomoc. Łódź sztabowa przecięła odrazu linę holowniczą, lecz, zamiast ratować tonących lub zawezwać łódź ratowniczą ze szkunera, opuściła czemprędzej miejsce wypadku. Pomoc ze statku w postaci małej łodzi (kierowało nią 2 ludzi) nadeszła dopiero około 2-ej w nocy, Pierwsze niepowodzenie przy wylądowaniu zraziło Łapińskiego do dalszych prób, i udał się on na Gotland, skąd cała wyprawa na pokładzie szwedzkiego okrętu wojennego wróciła do Angli. W ostatecznym wyniku zginęło 24 ludzi i przepadł cały transport zaopatrzenia wojennego, a Rząd Narodowy miał 96000 franków straty.

Łapiński w swoich pamiętnikach zrzuca całą odpowiedzialność za niepowodzenie wyprawy na szalejącą burzę j nie wspomina ani słowa, że łódź, wioząca pierwszy oddział desantowy, była przedziurawiona. Co się tyczy burzy, to w czerwcu bywają one na morzu Bałtyckiem bardzo rzadko, i wątpliwem się wydaje, aby kapitan „Emilii", który musiał znać warunki żeglugowe na Bałtyku, ryzykował na zbliżanie się i nawet kotwiczenie koło brzegu podczas burzy. Burza taka nie pozwoliłaby zresztą wyratować się ani jednemu rozbitkowi z łodzi desantowej, który mógł jednak utrzymać się dwie godziny na powierzchni morza i wydawać okrzyki, słyszane na pokładzie. Co się tyczy przecieku w łodzi, to wykazuje on karygodną niedbałość Łapińskiego, który, jako dowódca desantu, winien był szczegółowo obejrzeć i zbadać każdą łódź przygotowaną do przeprawy, a ponadto świadczy o zupełnoj możliwości pobytu szpiegów rosyjskich na pokładzie „Emilii", którzy mieli sposobność przeszkodzić wysadzeniu desantu,

WITOLD HUBERT.

OBSZARY WSCHODU

(Dokończenie)

II

NA TO żeby stworzyć coś samodzielnego, coś własnego w życiu społecznem i państwowem było jeszcze mniej warunków niż dawniej. Fanarjacko-greckie duchowieństwo zależne od zniewolonego przez Osmanów Konstantynopola nie mogło już nic dać, a reszta była do głębi nasiąkła tatarszczyzną, z upadkiem władztwa której, otwierały się coraz większe i coraz dalsze przestrzenie wabiące i wsysające w siebie poddanych carskich. Zewnętrzna siła carska trzymała mocno, niszczyła wszelką próbę samoorganizacji społeczeństwa. Pod groźnem spojrzeniem Iwana „opryczyna" gromiła i burzyła „ziemszczyznę". Dla niezadowolonych, szukających swobody i pola do samowoli pozostawała wędrówka w las i w step, w dal, za Wołgę i Ural. Znowu brak wszelkiej stabilizacji, wszelkich warunków rozwoju od wewnątrz, a nadzwyczajna łatwość rozlewności nazewnątrz.

Większą część Rusi najbliższej Zachodu, najpierw Litwa, a potem Polska włączyła w swój organizm państwowy, ażeby się podjąć ciężkiej pracy szczepienia w niej kultury rzymskiej.

To właśnie doprowadziło do jeszcze jednego eksperymentu, wzięcia pod władztwo Polskie Moskwy. Eksperyment przedsięwzięty nieopatrznie, bo choć z prawdziwym rozmachem, bezplanowo (plany posiadali tylko Sapieha i Żółkiewski), mimo świetnych zwycięstw jak Kłyszyńskie, mimo wejścia do Kremlu, nie udał się politycznie, jedynie kulturalnie trwał dłużej. Kiedy rodzima dynastia Romanowych mogłaby jak się zdawało postawić na nogi rodzimy też rozwój społeczeństwa i państwa, kię-

dy wpływy kulturalne Polski rosły, zjawił się nagle samorodny barbarzyński genjnsz, Piotr—i drogą odmienną „ucywilizował“ Rosję.

Car Piotr poddał Rosję nowemu eksperymentowi. Postanowił ją ucywilizować i upodobnić do Zachodu przemocą i przy pomocy Niemców.

Odtąd zaczyna się dwuchsetletni eksperyment władztwa niemieckiego w Rosji, z dynastią Holstein-Gottorpów i z całym aparatem biurokratycznym germańskim. Kolos stale się rozrasta, prąc nietylko na łatwe obszary Wschodu, ale i na trudniejszy Zachód w interesie zresztą Niemców. Ale i ten eksperyment skończył się fiaskiem, załamując się w krwawej rewolucji anarchicznej,—ażeby szybko pójść pod nową przemoc.

Rosja podlega teraz eksperymentowi władztwa żydowsko-inorodczego. „Państwo komunizmu”, w którem coraz wydatniejsze stają się rysy i wpływy mongolskich obszarów azjatyckiego lądu to reakcja przeciw Europie. Rosja bolszewicka obcięta na Zachodzie, sowicie sobie zapłaciła na Wschodzie, właśnie w głębi kolosu azjatyckiego, wiążąc ze sobą Mongolię zewnętrzną, kosztem Chin.

W tych wszystkich przemianach Rosji niema jednak właściwej Rosji, nie ma narodu rosyjskiego,—jeżeli on wogóle istnieje.

Przewaga jarzma obcych władztw jest stała, Jest stałą ta niewola bo się lud rosyjski rządzić nie umie i niemoże,—on masą wewnętrznie niezwiązaną rozpływa się w ogromach swoich obszarów. Bezbrzeżność nosząc w piersiach swych i w swoim charakterze, niezdolnym jest do koncentracji, doześrodkowania świadomego określonych celów, do wydobycia z siebie uczuć, myśli i energii skupionej. Uczucia jego rozlewne są uczuciami odruchów, myśl jego mglista i marzycielska jest rozwichrzona, wola jego jest samowolą rozprzężoną. Bogatym zasobom energii żywiołowej, fizjologicznej, zaczerpniętej z bezmiernych przestrzeni przyrody nie może podołać, ująć ich w karby, a więc rozprasza je. Stąd podlega wahaniom krańcowym, podczas których raz wybucha porywami druzgocącego buntu, to znów popada w prostrację, całkowitą bierność. Takim go uczyniły bezgraniczne obszary lądu.

Narody Zachodu mają też przed sobą bezgraniczne obszary, ale są to obszary wodne, obszary mórz i oceanu. Zdobywanie tych obszarów jest zupełnie innego rodzaju. Tu na lądzie w ojczyźnie określonej i ograniczonej skupia się, narasta, hartuje energia indywidualna i społeczna, duch koncentracji prowadzi do organicznego rozwoju zarówno w jednostce, rodzinie, jak i społeczeństwie, a wreszcie w państwie, które jest tego społeczeństwa wytworem, jego własną formą. Morze, zrazu trzyma na uwięzi, ogranicza, kiedy zaś rozwój energii społecznej oraz indywidualnej energii narodowej, dojdzie do należytej swej siły, staje się gościńcem zdobywczym, drogą dla śmiałych żeglarzy, szlakiem wędrowców już dojrzałych i wyrobionych wiekami w prawdziwej samoorganizacji.

Stąd brytyjscy purytanie zajmujący pobrzeża Północnej Ameryki inaczej wyglądają i działają na nowej ziemi, aniżeli kozacy, kupcy i chłopi rosyjscy za Uralem. Inaczej też odbywało się zdobywanie „Dzikiego Zachodu”, aniżeli „Dalekiego Wschodu”.

Przestrzeń lądową Wschodu rosyjski lud nietyle zdobywa ile jest przez nią wchłaniany, ona go wsysa.

I lud rosyjski i dusza jego snuje się po tych obszarach—koczuje.

Bezgraniczność rosyjska doskonale daje się dostrzec w etnicznej masie ludu, w „narodzie” rosyjskim. Oto na terenie europejsko-azjatyckiej Rosji, granice etnograficzne są tak poplątane i nieokreślone, że często niewiadomo gdzie się kończy masa ludu rosyjskiego, a gdzie zaczynają się „*inorodcy*“ rozlicznych plemion fińskich i mongolskich. Im zaś dalej na wschód w głąb obszarów lądowych tym bardziej granica etnograficzna zaciera się. Kozacy są czołowymi zastępami wędrówki w ciągu wieków, oni „zdobywali” step i oni „odkrywali” Syberię, aż do jej krańców, aż do Ameryki, prąc wodnymi i lądowymi szlakami, biorąc dań od słabych plemion autochtonicznych („jasak”). Ale ci kozacy istotnie narodowo są nieokreślonym elementem, bardziej pstry obraz przedstawiają oni, niż osławieni pod tym względem dawni Niżowcy.

Kozacy Dońscy to przeważnie element wielkoruski, kozacy kubańscy—małoruski, wśród kozaków syberyjskich czy stepowych, czy amurskich, są kozacy „i z mordwy”, „i z tatarów” „i z kirgizów” i wielu innych mniejszości narodowych, uralscy zaś to wręcz nieprawdopodobna mieszanina. W Rosji Europejskiej można jeszcze jako tako zawiłe granice narodowościowe, zresztą bardzo chwiejnie, wykreślić—ale za Uralem wręcz niewiadomo, gdzie się kończy chłop rosyjski a zaczyna mongoł. Plemiona dzikie bywają często językowo zupełnie zrusyfikowane, jak Kamczadale, nie przestając być azjatyckimi „*inorodcami*”. Z drugiej strony w wielu miejscach potomkowie przesiedleńców używają mowy plemion autochtonicznych, lub jakiejś mieszaniny gwarowej. Podobnie rzecz się ma pod względem antropologicznym, obyczajowym, kulturalnym i religijnym. Masa ludu rosyjskiego nie posiada określonych granic.

Łatwość przesuwanie się, łatwość dostania nowej ziemi, po wyzyskaniu, wyniszczeniu i porzuceniu dawnej, wytworzyła w chłopie rosyjskim i w całym narodzie, nie wyłączając inteligencji, jeszcze jeden rys znamienny, mianowicie skłonności niszczycielskie, które w chwilach wybuchów zarówno indywidualnych jak i społecznych, buntów rewolucyjnych, przybierają formy wręcz bezmyślnych huraganów „*sumazbrodztwa*“ (szaleństwa).

Uwielbienie „*bywszych ludiej*“ (wykolejeńców), „bosiactwa”, aż do najbardziej zbrodniczych typów „*niepomuiaszczych*“ (bezpamiętnych-bezimiennych) „*brodiag*“(zbiegłych kryminalistów), zbuntowanych przeciwko prawu, plujących na prawo (słynne wyrzeczenie: „*naplewat*”) stało się jednym z najznamienniejszych rysów zarówno poezji ludowej, jak i literatury rosyjskiej szczególniej doby poprzedzającej bezpośrednio rewolucyjny rozkład, anarchię i wreszcie „czerwony” despotyzm. I znowuż wyrosło ono na tle tych nieogarnionych, rozłożystych obszarów, które pozwalają na „*razguł*“ t. j. na to charakterystyczne rosyjskie zamaszyste rozprzężenie, wyuzdanie samowoli, którego typem jest oszalały, aż do zbrodniczości „*bujan*“, „*samodur*”, a w rezultacie chory, na granicy obłędu znajdujący się, niezdolny do jakiegokolwiek ze-

środkowania woli, opanowania siebie i swych ośrodków nerwowych, poddany obcej suggestii, syberyjski „*mieriaka*".

W literaturze i myśli rosyjskiej, u rosyjskiej inteligencji, rozlewność, bezgraniczność wysuwa się na każdym kroku. W konsekwencji brak koncentracji i tu jest widoczny. Umysł rosyjski z łatwością poddaje się formułom doktryny opartej na „pryncypialności", w której jarzmie chadza, ażeby w pewnym momencie wybuchnąć buntowniczym porywem, zrzucić jej więzy, pokruszyć i zdeptać przeszłość, niedawną tradycję, rewolucyjnym rozmachem przeorać swoje pojęcia, — poczem wpaść w nowe więzy doktrynalne,—najczęściej narzucone zzewnątrz.

Charakterystyczną jest rzeczą, że myśl rosyjska zarówno religijna jak i filozoficzna wpada w dwa krańce, znamienne dla całej Azji, mianowicie raz w panteizm, co przy ogromie i potędze przyrody jest zrozumiałe, — to znowu w fatalistyczny dualizm, który w rezultacie musi prowadzić do ateizmu, ten jest wyrazem całego rozchybotanego i rozprzężonego życia rosyjskiego.

W takich warunkach, rzecz zrozumiała, nie powstaje organiczna linia rozwojowa, nie ma ciągłości przeszłości dziejowej, nie ma zrozumienia, oraz istotnej czci dla własnej historii i życia praojców z minionych wieków.

Rosyjski myśliciel pierwszej połowy XIX w. P. Czandajew (1794—1856) widział tragiczne tułactwo ducha rosyjskiego (koczownictwo), widział, że jego myśl nie ma przed czym się schylić, do niczego nie może się przywiązać. „Nasze wspomnienia—powiada—nie sięgają dalej wczorajszego dnia, jesteśmy obcy sami sobie. Wszyscy podług niego, wyglądają w Rosji, jakby byli w nieustannej wędrówce, nikt tu niema sfery stałego istnienia, wszyscy są bezwolnymi włóczęgami wolnej i szerokiej drogi historycznej. Dodajmy: luźnych i szerokich przestrzeni ziemi rosyjskiej.

Cytaty z Czandajewa podaję podług wybornych studiów o życiu i twórczości narodu rosyjskiego Wł. Jabłonowskiego p. t. „Dookoła Sfinksa". Czytając ten zbiór i rozbiór, a szczególniej pracę o indywidualiźmie rosyjskim i o kryzysie inteligencji rosyjskiej w zestawieniu z rozważaniami na temat historii Rosji i jej warunków geograficznych, możemy sobie uświadomić oddziaływanie bezgranicznych obszarów lądowych na duszę rosyjską, na społeczny i polityczny rozwój Rosji, oraz na dzisiejszy jej stan.

Potęga oddziaływania geograficznego terenu oddawna i niejednokrotnie była stwierdzona, potęga tem większa, im pierwotniejszym jest stan danego społeczeństwa. Dopiero na wyższych szczeblach rozwoju społeczeństw i narodów człowiek zaczyna wyzwalać się spod tego przemożnego czynnika i nawet go opanowywać.

My również, choć stosownie do naszych warunków i naszego poziomu rozwojowego w znacznie mniejszym stopniu, doznaliśmy fatalnego oddziaływania wschodnich przestrzeni lądowych. Było to mianowicie wtedy, kiedyśmy wysoko już wprawdzie wyrobieni pod względem poczucia narodowego, ale nie dość w sobie skonsolidowani, otrzymali obowiązek cywilizowania i podnoszenia naszych obszarów wschodnich, przede wszystkim po dokonaniu Unii Lubelskiej. Tu zwiotczała nasza jędrność czasów piastowskich i pierwszego okresu czasów jagiellońskich, a zjawiła się rozlewność.

Zjawiło się osłabienie zdolności koncentracyjnych. Siły nasze wsysały ziemie ukrainne, zadnieprze, „Dzikie Pola", a nawet i północno-wschodnie Kresy Białoruskie. Przestrzeń była ogromna, rozkoszna, ale zarazem podstępnie groźna. Groźna tym bardziej, żeśmy nie posiadali dostatecznie jasnego planu politycznego i społecznego, dokonania prac naszych na tych rubieżach, tak bardzo odległych duchowo i kulturalnie od właściwego jądra naszego życia na zachodzie. Nastąpiło zaniedbanie tego jądra zachodu,—nastąpiła nasza orientalizacja. Jedyną siłą ratującą nas od gorszych jeszcze następstw był nasz katolicyzm, nasza, mocno wkorzeniona w jądro duszy, przynależność do kultury Zachodu, kultury rzymsko-katolickiej. I to właśnie pozwoliło nam wydźwignąć się z sytuacji, która mogła się stać po rozbiorach beznadziejnie tragiczną,—to nam pozwoliło, mimo czasowego zachwiania, nie zatracić naszej linii rozwojowej.

Jednakże musimy zdawać sobie sprawę, że będąc na rubieży dwuch światów jesteśmy ciągle bojowiskiem Wschodu i Zachodu, że na ziemi naszej, w naszym społeczeństwie i w duszach naszych odbywa się nieustanna walka. Walka, którą nie jeden z nas, pochodzący z kresów wschodnich, lub nawet zpoza ich granic, czuje w sobie. Rozważna obserwacja naszego życia publicznego powojennego, rozwoju naszej polityki we własnym państwie wskaże nam niezawodnie, że mamy aż nazbyt wiele pierwiastków wschodnich, że „rusyfikacja" duchowa, urobienie, a raczej rozprzężenie charakteru na modłę wschodnią, w pewnych jednostkach i pewnych sferach utkwiła głęboko.

Rosyjska postępowość, rosyjski rewolucjonizm, przesiąkły duchem negacji i buntu, skoro się dorwie do władzy, z łatwością przekształca się na despotyzm czy to monarchiczny, czy dyktatorski, nie liczący się zupełnie ze społeczeństwem, z narodem. Dla niego naród nie istnieje, istnieje tylko państwo. To pojęcie jest osobliwą szczepionką niemieckiego oświeconego despotyzmu na gruncie ducha rosyjsko-azjatyckiego. Było państwo carskie, istnieje państwo komunistyczne. Duch bezbrzeżnych obszarów rosyjskich, duch od stepu i tajgi pozostaje niezmiennym mimo zmiany nazwy i form zewnętrznych. Lecz jeżeli ta psychologia może być zrozumiała na gruncie rosyjskim, u nas jest czemś wręcz absurdalnem i może być wytłumaczona jedynie nasiąkaniem od wschodu. Walka nasza wewnętrzna to walka z wiatrem od stepu i tajgi.

Dla nas jest to sprawa czasowa i przejściowa ale dla Rosji, która stale tkwi i gubi się w swoich euro-azjatyckich obszarach, czemże ona jest?

Zdawałoby się, że to jest sprawa na wieczne czasy tragiczna i bez wyjścia.

Tak nie jest. Dwie są możliwości, które mogą działać zbawczo każda z osobna i obie razem.

Pierwsza możliwość to rozpadnięcie się Rosji, na mniejsze organizmy państwowe, a przy tym i zróżniczkowanie się kulturalne. To przyśpieszyłoby dojrzewanie społeczne i polityczne tych

organizmów, szczególniej bliższych Zachodu, a z tym razem i wyrabianie narodowe. Kto wie, czy do tego nie dojdzie, choćby pod wpływem starcia z Japonią.

Drugie to istotne poddanie się kulturze Zachodu, a więc oddziaływaniu ducha rzymsko-katolickiego, ducha kościoła, który ma przedziwną właściwość wychowywania i wyrabiania indywidualności narodowych.

Trzeciego wyjścia nie widzę. Ale mogą oddziaływać obydwa czynniki razem i w tym wypadku ewolucja dojrzewania wschodu może być znakomicie przyspieszona, a masa kontynentu przestanie być groźnym piaskiem pustyni, któryby mógł w każdej chwili runąć na zachód i przysypać naszą cywilizację, czy to rozkładem komunistycznym, czy poprostu najazdem „mongolskim", — czy obu razem.

Ta ostatnia możliwość jest najbliższą i najgroźniejszą. Żydowski komunizm wsparty na swej podstawie eksperymentalnej rosyjskiej, — na zagarnięciu ogromnych obszarów i ludowisk Eurozji zdecydowanie i gwałtownie atakuje świat kultury zachodniej, z jego organicznym rozwojem, z jego mocnym poczuciem narodowem, z jego nacjonalizmem wyrosłym w kulturze rzymsko - katolickiej.

Walka toczy się w całej pełni, z rozpaczliwem napięciem w Hiszpanii,—tam się odbywa dzisiejsze zmaganie się Zachodu ze Wschodem. Były już próby podjęcia ataku w Grecji;—przygotowuje się grunt we Francji; — lada chwila może przyjść kolej i na nas.

Połączenie przewodniczego wschodu semickiego ze wschodem śródlądowym azjatyckim, rozwinęło niebywałą dotąd w swej organizacji siłę burzycielską, wyzwalającą najpierwotniejsze, najniższe iście atawistyczne i zwierzęce instynkty.

Walka obronna, w swej całości, ze strony zachodu jest bezplanową i nie skoordynowaną, bez dostatecznej świadomości wielkości zadania.

Dziś planową walkę z kontynentem, z śródlądziem azjatyckim, jego duchem i jego przewódcami żydowsko-komunistycznymi podjęła Japonia, naród skoncentrowany, wyrobiony na swoich wyspach, świeży i jędrny.

I oto po raz drugi w dziejach ludzkości hasło: „*divide et impera*" może wydać błogosławione owoce. Tylko na to, żeby one były trwałe i nie skończyły się tak, jak skończyło się Imperium Rzymskie w swej formie państwowej, lecz przetrwały tak jak ono w swej formie kulturalnej, potrzeba Kościoła rzymsko-katolickiego, potrzeba nawrócenia Japonii, oraz nawrócenia Rosji.

Dla nas, twierdzy rubieżnej i nosicielki kultury zachodniej rzymsko-katolickiej wskazania to ważne, żywotne, być może rozstrzygające całą naszą przyszłość.

LUDOMIŁ SZRENIAWA-CZERNIEWSKI

MĘCZEŃSTWO ŚW. STANISŁAWA

(8 MAJA)

— Obmierzła mi już sprawa
Biskupa Stanisława:
Cnotą w oczy mię kole,
Wytyka mi swawole,
Grozi mi bożą karą...
A zgiń, biskupia maro!

Dufny w duchowe siły,
Wskrzesza Piotra z mogiły
I zasłania się trupem,
By świadczył za biskupem,
Że król krzywą chęć rości
Do Piotrowińskich włości.

Coś za harda ta głowa
Klechy ze Szczepanowa!
Urąga mi zuchwale,
Ugnę ją, albo zwalę!
I papież mi wybaczy:
Trudno było inaczej!

Król na Skałkę się wspina,
A z nim wierna drużyna:
Długosz, Wojsław, Żegota,
Dalej różna hołota,
Dziewki sirki, złodzieje,
Diabeł w kułak się śmieje.

Pierwszy król mieczem siecze,
Aż niewinna krew ciecze;
Biskup padł u ołtarza,
Zgraja ciało znieważa,
Rąbią, szarpią, siekają
I do stawu wrzucają.

Porąbane na sztuki
Ciało zbierają kruki.
Cudem zrasta się ciało,
Co już w wodzie leżało.
Pada strach na zbrodniarzy,
A król lekce grzech waży.

— O pomazańcze boży,
Królu, czyż cię nie trwoży,
Żeś tak zabił drugiego
Pomazańca bożego?
Biskup poszedł do raju,
A ty uchodź precz z kraju!

Boże, zbaw nas od złego,
Odpuść zbrodnię Śmiałego,
Gdy król skruchą grzech zmaże,
Niech twa ręka nie karze
Za to Polski wszej społem,
Że król walczył z Kościołem!

*
* *

Patronie Polski, Święty Stanisławie,
Módl się, by w Polsce zginęło bezprawie,
Spraw, niech nam świeci prawda, miłość, cnota,
I do wiecznego prowadź nas żywota!

ARTUR CHOJECKI

NA WIDOWNI

Uroczystości w Czarncy. — Rzadki typ Polaka. — Człowiek uporu i mocy. — Z rasy konkwistadorów. — Wzór i dla nas na dzisiaj.

ŚWIEŻO właśnie w kieleckiej Czarncy urządzono wspaniały pogrzeb Czarnieckiemu. I ta dostojna, wymowna w prostocie swego cichego, wiejskiego otoczenia — uroczystość jest jakby doskonałym symbolem, tego o czem tak niedawno pisałem. Bo cała wielkość Czarnieckiego jest przykładem owego wywyższenia się własną zasługą i przykładem tego, jaką drogą przede wszystkim zdobywało się te kasztelanie i splendory, które marnym potomkom tak często w pustych głowach przewracają.

Umarł bowiem Czarniecki wojewodą ruskim i hetmanem polnym, ale gniazdem jego nie był żaden pałac, tylko skromny, zwyczajny dwór w ubogim i nieurodzajnym Włoszczowskiem. Zapewne, że zdawna szlachecką i jak to się mówi „dobrą“ była jego rodzina—ale ostatecznie najzupełniej i najkompletniej ginęła w szaraczkowej rzeszy. I oto przyszedł ktoś i jednym wielkim wysiłkiem swojego życia dźwignął ją na senatorskie szczyty. Zostawił po sobie i tytuły i majątki, a potomkowie jego o znacznie większych z chwały rodowej imionach, jak np. Braniccy za zaszczyt sobie uważali pochodzenie od niego właśnie, i taki przedumny ze swego rodu Jan Klemens Branicki temu swojemu, jeśli chodzi o urodzenie skromniejszemu niby dziadowi pomnik w Tykocinie postawił. No i ten człowiek był tak wybitny, że wystarczy dziś samo jego imię — Stefan Czarniecki—byśmy sobie odrazu jego wielkość uprzytomnili. To, że za życia był kasztelanem kijowskim i wojewodą ruskim, a że na łożu śmierci w chłopskiej chacie w Sokołówce dostał, —długo — właśnie przez wzgląd na rodowych karmazynów — mu odmawianą polną buławę — niema wielkiego dla nas znaczenia i to są tylko skromne detale.

Tymczasem dla ludzi skądinąd mniejszych i wybitności bardziej koniunkturalnych te przygodne akcesoria wielkości są właśnie sprawami najważniejszymi. Komuś, kto wewnętrznie jest bardzo pusty i kogo szczęśliwy traf wyniósł na społeczne wyżyny — wszystkie owe zewnętrzne oznaki, ów lep próżności ludzkiej jest niezbędny. To dopiero mu uprzytamnia, że on czemś jest, bo własne sumienie aż zbyt często mu przypomina, że w gruncie rzeczy jest jednak niczem.

To jest jedno—ale dalej losy rodu sławnego hetmana przypominają i drugą prawdę, że samo odziedziczone imię przy braku własnych zdolności nie wiele pomoże. Wielki Stefan dźwignął wprawdzie swój ród, ale następców nie znalazł. Córki powychodziły wspaniale zamąż, synów nie było, a bratankowie świetnej tradycji nie podtrzymali. I hetmański ród wrócił tam skąd wyszedł — do szarej szlacheckiej rzeszy. W spisie rodów senatorskich legitymuje go wciąż tylko ten jeden, jedyny, przesławny senator. Wielkość cała okazała się efemeryczna, bo była tylko wielkością człowieka—a do wielkości całego rodu trzeba wielkości całych pokoleń i pracy całych pokoleń.

Te wszystkie jednak uwagi to coś zdecydowanie marginesowego owych uroczystości w Czarncy i to nie jest morał dla narodu—morał ogólny. Ten ogólny morał tkwi, moim zdaniem, w tym, że Czarniecki uosabiał swoim życiem i charakterem te właśnie zalety, których naogół brak Polakom, a których szczególnie wymaga bieżąca chwila. Był to bowiem człowiek twardy i bozkompromisowy, rażąco wprost czasem odbijający od polskiej miękkości i dlatego często posądzany o okrucieństwo. A tymczasem hetman okrutnikiem wcale nie był, ale wiedział, że wyjątkowe sytuacje wymagają środków wyjątkowych. Przecież czasy jego — to czasy „potopu“—czasy niemal końca Polski. Wielkiej, niszczącej wojny — socjalnej rebelii, buntu sekt religijnych i małodusznych zdrad magnackich. Czasy te naprawdę prosiły się o krew i żelazo i wielbiąc Czarnieckiego naród okazał, że rozumie, iż on jeden najlepiej w tych czasach spełnił swój twardy i trudny obowiązek.

Znamy wszyscy rysy hetmana—podłużną surową twarz, wysokie czoło, czarne, głęboko osadzone oczy, majestatyczną brodę. Jakież to inne oblicze od tego, które ma ukochany bohater narodowy—król Jan. Ale też trudno o większy kontrast ludzi i to właśnie, że Sobieski jest typowym szlachcicem i typowym Polakiem — jasno dowodzi jak dalece twardy i nie mający w sobie nic z jego pogodnej jowialności Czarniecki jest czemś dla nas wyjątkowem i rzadkiem.

Bo rzeczywiście te zalety, które cechowały hetmana nie są zaletami dla Polaka typowymi. Typ polski ma w sobie coś kobiecego, coś lżejszego—powiedziałbym, że naogół nie jest zbyt głęboki, a przede wszystkim nie jest właśnie twardy, a co zatym idzie nie bardzo jest konsekwentny i przy swoim zdaniu uparty. Jego zalety są wszystkie zaletami innego właśnie typu—typu może króla Jana, który był aż do zbytku pobłażliwy, pogodny i dawał się łatwo namówić, czy przekokać. Tymczasem Stefan Czarniecki był zgoła inny i przyciąga nas do niego jego niepolska wprost moc. Naród kocha w nim tego, co mu objawił jego geniusz w najrzadszej stosunkowo postaci—w uporze i sile.

Obie zalety bardzo potrzebne dzisiaj i w tej właśnie kolejności jak je wymieniłem. Zwłaszcza więc upór, mocne niewzruszone trzymanie się swego zdania, bez względu na to co świat powie, jeśli moje sumienie mówi mi, że to słuszne. Tak właśnie robił Czarniecki, ciskano na niego gromy, na jego nieustępliwość — a on tymczasem robił swoje i w końcu musiano mu przyznać rację. Zżymano się na to, długo zwlekano z oddaniem mu należnej oddawna buławy, ale on w końcu zwyciężył i w opinii szerokich rzesz swego narodu został już na zawsze najpopularniejszym i największym z hetmanów, tym, którego imię żyje dotychczas w pieśni narodowej. Buława spóźniła się mocno i swoi nie zawsze, mimo nadań tykocińskich, okazali się wdzięczni, ale u obcych rozniósł sławę imienia polskiego. Cenił go Wielki Elektor i król duński i bladł przy nim Montecuculi. A w każdej radzie wojennej ten niemianowany właściwie hetman był pierwszy i czuć było mocną pewną władzę jego woli i czynu, który nigdy nie zawiódł.

Bo uporowi odpowiadała siła. Co postano-

wił zrobić to zawsze zrobił. „Puścił się przez morze“ i życia swego nadstawiał. Sławna jest jego srebrna blaszka na podniebieniu. I stanowczo stwierdzić trzeba, że ze wszystkich wodzów polskich ten właśnie surowy, żelazny żołnierz idący zawsze prostemi drogami do jasno uświadomionego celu, jest dzisiaj typem i potrzebnym i rozumianym.

Wielki hetman był antysemitą i dał się żydom porządnie we znaki, czuł zapewne sens „potopu”. A więc nawiązując do dzisiaj — nareszcie mamy *ghetto* na wyższych uczelniach—i warto sobie przypomnieć dlaczego. Dlatego, że wbrew nawoływaniom do rozsądku, nauki, kultury — wbrew zapewnieniom, że nic z tego nie wyjdzie — młodzież uparcie cały zeszły rok o to chociażby tylko awanturami walczyła. Nie cotnięto się i uparcie i z siłą dążono do celu. Blokada, represje, relegacje nie powstrzymały idącej fali. Tak musi być wszędzie i musimy się tą właśnie metodą wydostać z naszego „potopu“. Niechaj będzie konsolidacja, ale nie kosztem tego, czego Polsce potrzeba.

Świeżo ukazała się jedyna, naprawdę narodowa książka o Hiszpanii pióra Jędrzeja Giertycha i wymieniam ją tu dlatego, że na dwuch odmiennych frontach walczymy o to samo i, że skoro oddawna już wyszukuje się i omawia analogie polsko-hiszpańskie, to jest nią bezsprzecznie i sama postać Czarnieckiego. Już fizycznie przypomina sławnego z czasów Filipa — księcia Albę — a w typie moralnym jest z rasy tych fanatyków i śmiałków, co dla Krzyża i Hiszpanii zdobyli kiedyś połowę świata. I te wszystkie walki kresowe, w których biały jego koń broczył literalnie we krwi, owo zniszczenie Subotowa i wyrzucenie prochów Chmielnickiego to wszystko srogością swoją przypomina czyny Cortezów i Pizarrów, tak jak przypomina je prostolinijnością i mocą.

Żeby uniknąć już wszelkich nieporozumień i z całą wyrazistością kropkę nad i postawić — nie chwalę tu hetmana za jego bezwzględność, czy okrucieństwo. ale pomimo to, bo chwalę go za siłę i moc decyzji. Gwałt zawsze jest zły i krew niepotrzebnie przelana także zła, ale czasy dziś są takie, że postulatem jest siła i bodaj raczej lepsza tu przesada niż zbytnia słabość. No i pamiętać o jednym trzeba — że wewnętrzny pion moralny wskaże zawsze granicę czynom. I Czarniecki był zawsze rycerzem, zawsze wiernym sobie — uderzał ostro, ale z frontu. Niszczył i burzył, ale złe i jeśli nawet sprofanowanie zwłok Chmielnickiego mogłoby być mu poczytane za zło — to usprawiedliwi go słuszna gorycz Polaka i to, że w sumieniu swoim — wtedy karał. Więc można naprawdę powiedzieć, że nie było na nim skazy.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

KONFISKATY

Zamiast nr. 41 rozesłaliśmy odbiorcom „Myśli Narodowej” z pewnym opóźnieniem nr. 42, w którym dwie pierwsze strony były białe. Stało się to z zarządzenia Komisariatu Rządu m. Warszawy, który obłożył aresztem tamten numer i polecił usunąć z niego artykuł wstępny wraz z tytułem i podpisem. Obecie otrzymujemy z rzeczonego Komisariatu pismo następujące (z 16.X):

„Upatrując w art. p. t. „Z powodu dekretu”, zamieszczonym w czasopiśmie „Myśl Narodowa” z dn. 10.X.1937 nr. 41 cechy przestępstwa przewidzianego w art. 170 K. K., na zasadzie art. 27 dekretu z dn. 7.II.1919 w przedmiocie tymczasowych przepisów prasowych (Dz. praw 1919 nr. 14 poz. 186) obłożyłem aresztem w d. 9.X.193 wyżej wymienione czasopismo przy równoczesnym skierowaniu sprawy do Pana Prokuratora Sądu Okręgowego w Warszawie. Za Komisarza Rządu (podpis nieczytelny)”.

Dodamy, że artykuł rzeczony wyrażał uznanie i zadowolenie z powodu dekretu. Widocznie jednak nie podobały się motywy tego zadowolenia, z jakim społeczeństwo ten dekret przyjęło. Sądziliśmy, że ten poważnie zreferowany głos opinii publicznej będzie na rękę tym czynnikom, które dążą do unormowania stosunków politycznych w kraju.

*

W dziennikach wileńskich czytamy:

Cztery dzienniki wileńskie wobec coraz częstszych konfiskat zwróciły się do Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism, aby wszczął starania o zaniechanie stosowania wobec prasy metod następujących:

a) prewencyjnego powiadamiania dzienników przez przedstawiciela I instancji, że w razie zamieszczenia jakiegoś notorycznie znanego faktu wydawnictwo ulegnie konfiskacie,

b) zajmowania pisma bez piśmiennego dokładnego wskazania co mianowicie jest zajęte;

c) zajmowania pisma bez nadawania sprawie przewidzianego prawnie biegu sądowego;

d) konfiskowania pism bez żadnych podstaw prawnych, za artykuły, w których nie sposób dopatrzyć się jakichkolwiek cech przestępstwa.

Wydawnictwa wileńskie proszą Związek Wydawców o wszczęcie odpowiedniej akcji zarówno wśród wydawnictw, jak i wobec władz.

Dosyć powiedzieć, że prawicowe „Słowo” wileńskie w niewielkim okresie czasu skonfiskowane było 46 razy.

*

W tym samym duchu zapadły uchwały na zebraniach syndykatów dziennikarzy wielkopolskich i krakowskich.

Wydział syndykatu krakowskiego, solidaryzując się z uchwałami wielkopolskimi, zwraca się do Zarządu Głównego i Wydziału Wykonawczego Związku Dziennikarzy R. P. o bezzwłoczne podjęcie, w porozumieniu z Polskim Związkiem Wydaw-

ców Czasopism, wszystkich niezbędnych kroków celem obrony naruszanej zasady wolności prasy i do zademonstrowania przed opinią publiczną kraju zdecydowanej woli obrony tej zasady wszelkimi rozporządzalnymi środkami.

Słusznie. Kiedyż nareszcie zapanują stosunki gwarantujące możność spokojnego wykonywania obowiązków dziennikarstwu, znającemu prawo i pragnącemu je przestrzegać.

WYCHOWANIE NARODOWE.

WSZECHSŁOWIAŃSKI KONGRES PEDOLOGICZNY

Z KOŃCEM sierpnia odbył się w Lublanie w Jugosławii wszechsłowiański kongres pedologiczny. Wzięli w nim udział przedstawicielie wszystkich państw słowiańskich z wyjątkiem Republiki Sowieckiej. Zgromadził on kilkuset uczestników. Poza Jugosłowianami najliczniej reprezentowana była Czechosłowacja. Polskę reprezentowali prof. Szuman z Krakowa, prof. Bykowski i dr. Zaworski z Poznania, oraz dyr. Schwarz z Torunia. Kilku innych polskich referentów nie zdołało niestety przybyć.

Program był bardzo obfity. Poza uroczystą inauguracją, w której prócz dygnitarzy miejscowych wziął udział specjalny przedstawiciel króla Piotra, zgłoszono 27 wykładów plenarnych i 47 sekcyjnych. Z trudem tedy udało się wyczerpać porządek obrad. Swiadczy to o żywotności nauki w krajach słowiańskich. Z okazji kongresu zorganizowano też wystawę pedologiczną.

Jak na pierwszym kongresie, tak i teraz delegacja polska była podejmowana bardzo serdecznie i można powiedzieć nawet wyróżniana. Następny kongres ma się odbyć za lat cztery w Bułgarii.

*

Za mało interesujemy się państwami i narodami słowiańskimi, owszem sfery urzędowe okazują raczej abstynencję i chłód, jeżeli nie niechęć wyraźną. A przecie zwłaszcza na polu kulturalnym zbliżenie się i współpraca byłyby nie tylko łatwe i wdzięczne, ale ze wszech miar wartościowe. Moglibyśmy dokonać doniosłej misji kulturalnej, zasilając ludy i narody słabsze, mniej wyrobione, jak Łużyczanie i Słowacy, wzmacniając kulturę łacińską w miejsce zaskrzepłej bizantyńskiej, np. na Bałkanie, szlachetnie rywalizując na polu nauki i sztuki z wyrobionymi i wysoko stojącymi, jak Czesi lub Chorwaci.

Grunt znaleźlibyśmy bardzo podatny. Pokrewieństwo językowe ułatwia porozumienie i kontakt, a jak mogliśmy się przekonać, uczuciowe sympatie ku nam są bardzo silne. Zwłaszcza wśród Słowian bałkańskich, gdzie nie tylko starodawna gościnność i tradycje Władysława Warneńczyka i Ludwika Jagiellończyka, oraz duże podobieństwo przeszłości historycznej, ale i brak jakiejkolwiek sprzeczności interesów a nawet punktów tarcia w bieżącej polityce ułatwiają pracę i jej wyniki. Ale nawet i z Czechosłowacją mimo nieporozumień politycznych, które przecie nie są zasadnicze i nie trudne do załatwienia, współpraca nie jest niemożliwa. Poza niektórymi politykami nie tylko wśród sfer naukowych, ale i szerszych warstw kulturalnych można stwierdzić nie tylko zainteresowanie, ale i częstą sympatię zwłaszcza wśród generacji młodszej. Zapewne różnią nas spory graniczne i wspomnienia z czasów woiny bolszewickiej, a i dawne tradycje husyckie, odmienne prądy wewnętrzne. Ale nie tylko w przeszłości mógł Żyżka walczyć razem z nami przeciw Krzyżakom pod Grunwaldem, ale i w dobie dzisiejszej współpraca okazała się możliwa i pożyteczna, jak świadczy działalność Międzynarodowej Konfederacji Studentów, gdzie delegacja polska w oparciu o blok słowiański i przy poparciu narodowości romańskich nadawała decydujący kierunek działalności, póki znane reformy jędrzejewiczowskie nie podcięły jej powagi i znaczenia.

Na terenie współpracy międzynarodowej nie rychło zaimponujemy narodom zachodnim. Anglikom, Francuzom czy Niemcom, państwa i ludy nadbałtyckie są nam językowo i kulturalnie dalsze, a często niechętne (Łotysze), wrogie (Litwini), lub uległe wpływom germańskim (Finowie), natomiast wśród Słowian łatwo moglibyśmy się wysunąć na czoło. Współpracując tedy kulturalnie z Zachodem i starając się jaknajrychlej nadrobić braki i opóźnienia, by móc brać jak najsławniejszy udział w „wyścigu pracy”, powinniśmy przedewszystkim utrzymać żywy i szczery kontakt ze Słowiańszczyzną, inaczej zastąpią nas tam i wyprzedzą Czesi, a w przyszłości zapewne Rosja Sowiecka, co byłoby groźne nie tylko dla nas, ale i dla całej kultury zachodniej.

LUDWIK JAXA BYKOWSKI

ZE ŚWIATA SZTUKI

PAWILON POLSKI W PARYŻU

WIELE PISM codziennych, pisząc o naszym udziale w „Międzynarodowej Wystawie Sztuki i Techniki” w Paryżu, określało go bardzo chętnie słowem: skandal. Pod wpływem prasy brukowej dzienniki prześcigają się w wyławianiu sensacyj. Wprawdzie Prus już przestrzegał przed tak jednostronnem pojmowanie sensacyjności i twierdził, że obok ujemnej istnieje i dodatnia, któżby jednak chciał dzisiaj pisać o „sensacyjnie dobrym” uczynku; zbrodnia, oszustwo, złodziejstwo na wielką skalę, opisane przez zręcznego reportera, przedstawiają się daleko efektowniej. O średniej, nawet niezłej wystawie, nie warto wspominać, podobno jednak — tak mówią — nasz pawilon w Paryżu wygląda skandalicznie; skandal to już jest coś!

Niestety, muszę rozczarować amatorów sensacji: pawilon polski w Paryżu skandalem nie jest. Na zapytanie, czy zdaliśmy egzamin wobec świata, możnaby odpowiedzieć tymsamym stylem: tak — na trójeczkę, może na trójkę z plusem. Oczywiście do najlepszych na wystawie nasz pawilon ani się umywa; gorzej wygląda od włoskiego, belgijskiego itd., ale daleko lepiej od niemieckiego i sowieckiego, tj. tych dwóch, z którymi najczęściej go się zestawia. Zestawienie takie się robi z racji najbliższego sąsiedztwa obu i jeszcze z innych względów. Mianowicie rodacy w kraju słyszeli, że oba

te pawilony, sowiecki i niemiecki robią furorę, dlaczego więc nasz jej nie robi? (W tem miejscu właśnie chętnie wymienia się słowo skandal).

Rzeczywiście pawilon sowiecki w Paryżu popularnością dorównał wieży Eifla, w niemieckim również tłumy, a przecież jak wspomniałem, oba są bardzo brzydkie, zwłaszcza niemiecki: z zewnątrz, jak drapacz nieba, a wewnątrz — jak hala dworca. Czem wobec tego należy tłumaczyć ten sukces? Udział narodów w wystawie paryskiej można było rozumieć dwojako. Jedni pragnęli mieć najlepsze, w sensie artystycznym, pawilony, inni chcieli, jak to się mówi, „świat zadziwić", wszystko jedno czem, byle zadziwić. Gdyby im powiedziano, że największą zwrócą uwagę jakimś cudacznym nonsensem, nie zawahaliby się przed nim. Niemców wcale to nie martwi, że ich dzieło z pawilonem, jako odrębnym rodzajem architektury, nie ma nic wspólnego, grunt w tem, żeby je było widać. Więc kładli nacisk przede wszystkim na wielkość i cel, sobie postawiony, osiągnęli. Podobnie postąpiły Sowiety. Teraz każdy mieszczuch paryski mówi o Niemcach i Sowietach, a Polak się zastanawia, czy i jemu nie należało tak samo postąpić. Bowiem propaganda, nie licząc się z sądem wybranych, pragnie najczęściej oddziaływać na masy.

W sąsiedztwie tak zrealizowanych zamierzeń, Polska wystąpiła z tworem zdecydowanie kameralnym. Pawilon nasz rzeczywiście odpowiada pojęciom pawilonu. Umieszczony wśród drzew, tak idealnie — wedle zamierzeń twórców — łączy się z terenem, iż w nim ginie. I teraz stajemy wobec zagadnienia: co lepiej służy propagandzie swego kraju — lepsza Polska, której nie widać, czy złe, ale zdaleka już widoczne Niemcy? Jedni mówią, że złem niema co się chwalić, inni twierdzą, że tu nie chodzi o jakiekolwiek wartości, tylko poprostu o takie „tam tam" propagandowe. I jeden i drugi punkt widzenia da się obronić, wydaje mi się jednak, że Polska na tym międzynarodowym — co tu dużo gadać — jarmarku wystąpiła z efektami, nadto w takich razach, subtelnemi. Wśród zgiełkliwego chóru dętych orkiestr najpiękniejszy nawet śpiew skrzypiec przepadnie.

Rozpatrywany jako dzieło, oddzielnie, w uniezależnieniu od tła, pawilon polski ujawnia pewne cechy, zgoła narodowe. Rzetelne wysiłki poszczególnych artystów w niejednym pięknie go zdobią, natomiast całość nie jest zgrana ze sobą, niema w niej jednolitego ładu artystycznego. Pierwsze jest zasługą naszych plastyków, pracujących nieraz w warunkach bardzo trudnych, za drugie należy winić organizatorów. Nie było zasadniczego planu, pracowano „na łap-cap", nie ułatwiano artystom porozumienia się między sobą, w celu uzgodnienia pojedyńczych indywidualnych koncepcyj. Rzeźbiarze np., autorzy pomników w wejściowej rotundzie, pracowali każdy na swoją rękę, nie wiedząc jakiem sąsiedztwem obdarzy jego dzieło kolega rzeźbierz. A przecież te wyobrażenia sławnych postaci z naszych dziejów, dekorując półkoliste wnętrze rotondy, miały stanowić zarazem pewną całość architektoniczną. Nie ustalono także kwestii ubioru wyobrażonych genjuszy i bohaterów. Należało się zdecydować na strój historyczny, albo szatę symboliczną. Dlatego nas dziwi Szopen w koszuli, że obok mamy Piłsudskiego w współczesnym mundurze. Na dobrą sprawę powinna bardziej razić krótka tunika księcia Józefa z placu Marszałka, tak jednak nie jest, gdyż podobne ujęcie harmonizuje z architektonicznem, również klasycyzującem, tłem pomnika. Najudatniej w pawilonie wypadła postać Kościuszki w dyskretnie zamarkowanej sukmanie.

To, co każdy naród pragnął pokazać innym na wystawie paryskiej nie mieści się tylko w pawilonach. W rozmaitych gmachach, rozsianych po całym Paryżu, gnieżdżą się rozmaite działy techniki i sztuki. Ale pawilonom przede wszystkim zgrupowanym na terenie wystawy, powierzono rolę reprezentacji państw. Zawartość ich wnętrza powinna dobitnie i prawdziwie świadczyć o dorobku kulturalnym każdego narodu. Ponieważ miejsca niewiele — zwłaszcza nasz pawilon jest mały — należało dokonać wyboru. Co pokazać? Wiemy iż ludzie są subiektywni, omylni, bywają niesprawiedliwi. Nie żądamy od organizatorów wnętrza naszego pawilonu świętości. Niech się kierują własnym, ułomnym sądem. Pragnęlibyśmy tylko zrozumieć, jaki był ich punkt widzenia. Można się ograniczyć do wyboru rzeczy najbardziej charakterystycznych. Albo wcale nie pokazywać rzeczy dla Polski typowych, tylko coś wybranego, co u nas najpiękniej obrodziło, dzięki okoliczności i talentom.

I jedna i druga zasada wyboru miałaby pewne podstawy. Oglądając pokazane w pawilonie wnętrza niesposób jednak zrozumieć, dlaczego właśnie to pokazano? Turysta, widząc hall w domu lotnika, pomyśli, iż Polska ma ich więcej, niż jakikolwiek inny kraj i specjalne dla nich mieszkania buduje. Pomyśli także, że ci polscy lotnicy, to widać bardzo bogaci ludzie, skoro z całego mieszkania (zapewne b. dużego) mogą poświęcić jedną izbę na hall. Znam tylu, mniejwięcej lotników, co każdy przeciętny śmiertelnik; ci dzielni i sympatyczni ludzie mieszkają w Polsce, a tylko — okazuje się — hall swego domu mają w Paryżu. No, ale jak to mówią — dla lotników przestrzeń nie istnieje.

Najwięcej jednak drażni inna izba, przedstawiająca wnętrze week-end'owe, czyli mówiąc po polsku: pokój odpoczynkowy na letnisku. Wszystko tu cuchnie snobizmem zblazowanego wałkonia, który udaje, że dość ma wykwintu i luksusu, a nie rozumie prostoty. Zamiast skromności i wygody, perwersyjne i bezsensowne zarazem łączenie różnorodnych materiałów w jednym meblu, dzikie łoże, obwiedzione, jak kominek, nieociosanymi głazami i stoliczek z buduaru kokoty. Autorom podobnych kreacji, w czasach nędzy, bezrobocia i komunizmu, niech się przypomni epoka Ludwika XVI-go, kiedy to wykwintne markizy zabawiały się w pasterki i na łonie natury, same, delikatnymi paluszkami doiły krowy. Markizom potem pocinano głowy... „Przestańcie więc dzieci, bo się źle bawicie".

Natomiast mieszcząca się w rogu pawilonu izba kurpiowska, pokazana jako wykwit długowiecznej kultury ludowej, budzi powszechne i słuszne zainteresowanie. Gromadzi ona, za wyjątkiem stołu, autentyczne sprzęty, oraz piękny stary piec, lecz jako całość nie jest bynajmniej bezduszną, mechaniczną kopią. W jej obrębie znajduje się i odgradza ją od reszty przestrzeni prześliczna balustrada

z pisanek, nanizanych rzędem na sznurki i obwiedzionych drewnianą ramą.

Barw Polski dobrze bronią również: makata, według projektu Szymańskiego (w rotondzie), wykonana w spółdzielni kobiecej „Inicjatywa”, i panneau dekoracyjne Kubickiego. Należy także wspomnieć o bardzo ciekawie, pod względem graficznym, rozwiązanych mapach statystycznych. Po lewej stronie pawilonu pokazują swoje wyrobu: monopol wódczany i Milanówek. Nie mamy nic przeciwko spajaniu świata polską wódką, co zaś do Milanówka, to wślad za nim powinnyby się zjawić prześliczne tkaniny „Ładu”. Bo „Ład” to nie tylko pozycja handlowa w naszym dorobku. Zdaje się jednak, iż „ładowcy” nie cieszyli się względami organizatorów polskiego działu.

Trochę tkanin „Ładu” użyto do dekoracji wystawy polskiej grafiki, która się mieści w zupełnie innym budynku, wraz z rozmaitymi eksponatami innych narodów. Grafika nasza wygląda, jak zwykle, znakomicie, samo urządzenie wystawy bardzo estetyczne i starannie zharmonizowane w kolorze. Bardzo przejrzyście i estetycznie została urządzona również wystawka polskiego szkolnictwa zawodowo-artystycznego, mieszcząca się, wraz z takiemiż działami innych narodów, w osobnym pawilonie. Jej zadaniem było przedstawienie rezultatów nauczania, od szkół najniższego typu, począwszy, aż do Akademii Sztuk Pięknych. Niepotrzebnie całkiem pokaz ten został przeciążony materiałem właśnie z wyższych uczelni. Wszyscy mniej więcej wiemy, czego się naucza w Akademjach Sztuk Pięknych całego świata, choćby dlatego, że takie uczelnie należą do najstarszych. Natomiast szkolnictwo niższe, zawodowe i rękodzielnicze, poczęło się rozwijać, wydając nie raz znakomite rezultaty, dopiero w czasach ostatnich. Metody nauczania, oraz program nauki w tych szkołach należało przede wszystkim pokazać, tymbardziej, iż Polska w tym zakresie niejednym się może się pochwalić.

Tak wygląda w krótkim zarysie udział Polski w Międzynarodowej Wystawie Sztuki i Techniki, w Paryżu. Dział techniki wymaga oczywiście oddzielnego omówienia przez specjalistę.

Zastrzeżenia moje nabiorą właściwych proporcji dopiero po zestawieniu działu naszego z całością wystawy. Otóż wystawa ta, moim zdaniem, została źle pomyślana. Słowo „technika”, w tytule obiecywało wiele. Współcześni inżynierowie i technicy mogli nas olśnić niejednym cudem. Tymczasem zamiast podziwu, opuszczamy wystawę zmęczeni, z ogólnym obrazem chaosu w głowie. Jeśli gdziekolwiek mogła się przydać jakaś Liga Narodów, to tu chyba przy urządzaniu takiej wystawy. Każdy z narodów powinien dostarczyć swej „*specialité de la maison*”, a Komitet organizacyjny mógłby zgromadzony materiał ułożyć w przejrzystą i metodycznie zobrazowaną całość, pozwalającą widzowi na jakie takie, zasadnicze, zorientowanie się w stanie i rozwoju współczesnej techniki i sztuki. Należało wzajem się uzupełniać i razem tworzyć całość, a nie współzawodniczyć ze sobą. Metoda jednoczesnego współzawodnictwa tylu narodów (każdy sobie...) wprowadza w rezultacie (za wyjątkiem pewnych działów sztuki) chaos i rozgardiasz.

WIKTOR PODOSKI

NAUKA i LITERATURA

„PAJĄK I POETA”

NAJNOWSZY tom Iwaszkiewicza[1]) zawiera dwie dłuższe nowele: „Nauczyciel” i wymieniony w tytule „Młyn nad Utratą”.

Pierwsza, ród swój potrosze od Pawła Wedekinda i jego posępnego „Przebudzenia się wiosny” wiodąca, o ileż bardziej dla nas niezrozumiała, niż nawet tamte, wybitnie dziś przebrzmiałe, perypetie przedwcześnie rozbudzonego, po faustowsku dociekliwego młodego Niemca.

W „Nauczycielu” podobna, jeśli chodzi o dramat psychiczny, tragedia zdeprawowanego, dzięki wpływom zzewnątrz, chłopca staje się bardzo trudna do rozgryzienia na skutek wprowadzenia czytelnika w mroczny świat jakiejś przepastnej hemisfery, gdzie po omacku tylko, nieomal na ślepo poruszać się można. Bohater noweli, jak się można domyślać, należy do t. zw. „mniejszości seksualnych”, a jego fatalny wpływ na powierzonych chłopców jest wybitnie kryminalnej natury. Utwór, ze względu na szereg niedomówień i specyficznych aluzji, powinien być drukowany na prawach rękopisu i rozsyłany tym, dla których poruszony problem z tych czy innych względów nie jest całkowitą *terra incognita*...

Inaczej rzecz się ma przy czytaniu następnego opowiadania („Młyn nad Utratą”), w którem daleko łatwiej i w sposób naturalniejszy akomodujemy do powołanegô do życia środowiska, jakkolwiek i tutaj razi ono niejaką egzotycznością jakby umyślnością swych narodzin, wyłącznie dla prawidłowości i symetrii przeprowadzanego doświadczenia psychologicznego potrzebną.

I tak już jest, że Iwaszkiewicz ludzi swoich jako kreacje ustawia w ten nieco sztuczny sposób, iż każe im być wyłącznie modelami, na których drapuje materię artystyczną oraz substancję duchową w coraz to inne fałdy i załamy. W takim intelektualnym trybie, gdzie postaci bohaterów służą za wygodną zasłonę dla rezonerstwa autora, nie ma mowy o nawiązaniu przez czytelnika serdeczniejszego porozumienia ze światem powieści, pozbawionym żywego kolorytu lokalnego choć wymienionym z miejsca i nazwy powiatu.

W danej sytuacji interesuje autora problem natury świętości, możliwej do osiągnięcia w życiu codziennym, stojącej nieraz na pograniczu i w bliskim pokrewieństwie ze sztuką, z jej aktami najwyższego natchnienia.

Ciekawy pokaz odbywa się na żywym materiale dwu figur: dwaj przyjaciele, Karol i Julek różnią się między sobą stylem wewnętrznym i o ową właśnie świętość, całkowicie i niepodzielnie zmonopolizowaną przez pysznego w poczuciu swej wyższości duchowej nad otoczeniem, Julka.

To, ustawienie, podobnie jak u Tołstojowskiego ojca Sergjusza, w doskonałej acz chwiejnej równowadze i całkowie tym bezpieczeństwie własnej nienagannej cnoty staje się dlań przyczyną upadku. Przy pierwszej nadarzającej się sposobności usuwają się niepotwierdzone czynami w życiu zasady, pękają misternie skonstruowane opory, do głosu dochodzą z „prailów”, jakby powiedział Przybyszewski, dobyte, drzemiące pod progiem świadomości pasje i dzikie, niszczące siły—Julek ulega pokusie, burząc tem doczesną i przyszłą szczęśliwość duszy, najbardziej istotną podstawę całej swej egzystencji.

Inaczej Karol—ten, równolegle do postępującego w nieprawym związku z nader pospolitą kobietą, upadku młode-

[1]) Jarosław Iwaszkiewicz. „Młyn nad Utratą” (Gebethner i Wolff. Warszawa 1936).

go poety, stopniowo podnosi się na coraz wyższe szczeble uduchowienia, warunkowanego wewnętrznymi samoobjawieniami, a stającego się logicznym uzasadnieniem dla późniejszdj, heroicznej śmierci.

Śmierć Julka w całkowitym opuszczeniu z ukąszenia pająka w starym młynie, nawiązując jakby do wierzeń ludowych w widomą sprawiedliwość lub też może stanowiąc świadomą reminiscencję z jakiegoś teatru Okropności czy choćby straszącego niegdyś naszych dziadków Edgara Poe'go, potęguje nastrój niesamowitości, łagodzonej szmerem deklamowanych poezyj, tego pacierza estetów, instynktownej obrony w mrokach nowoczesnego, pięknie ukształconego pogaństwa.

ST. J.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wychodzący w Kielcach ilustrowany miesięcznik „Radostowa" poświęcił specjalny zeszyt (10) uczczeniu pamięci hetmana „Stefana Czarnieckiego. Sympatyczny ten i dobrze redagowany miesięcznik dał w ten sposób wyraz literacki i artystyczny hołdom, jakie z tytułu regionalnego cieniom wielkiego rycerza ziemia kielecka złożyła w dn. 16 bm. W dniu tym przełożono zwłoki hetmana do metalowej trumny, ustawiono w nawie kościoła pod sarkofagiem. Stało się to w Czarncy, w kościele ufundowanym przez Czarnieckiego. Opisy tej uroczystości znane są z dzienników.

„Radostowa" podała teksty aktów pamiątkowych złożonych w trumnie i sarkofagu i wiele ilustracji z widokami kościoła i zdjęciami pamiątek po Czarnieckim. Skatalogowano też pierwszy raz tak kompletnie zabytki dotyczące Czarnieckiego 1) w Muzeum Narodowym w Krakowie i 2) w Czarncy.

Na bogaty dział literacki składają się w tym zeszycie poezja L. Feliksa - Gliksmana, a dalej artykuły J. Gębicy (Wodzowi w hołdzie), dr Wł. Czaplińskiego (Próba charakterystyki St. Cz.), dr E. Latacza (S. Cz. — żołnierz i wódz), List Fryderyka III króla duńskiego do Cz. (1658), dr K. Marcinkowskiego (Działania wojenne S. Cz. w obrębie woj. Sandomierskiego), Bibliografia prac o S. Cz. — S. Borkiewicza (Dziedzice na Czarncy), Br. Cetery (Uroczystości pogrzebowe hetmanów w dawnej Rzyplitej) i in.

Zeszyt ten starannie wydany na welinie bogato ilustrowany kosztuje tylko 1 zł. Powinien być szeroko rozpowszechniony. Adres wydawnictwa: Kielce, Mickiewicza 1.

*

Adolf Nowaczyński, od pewnego czasu niewidzialny na arenie walk politycznych, zajął się gorliwie dziejami kultury polskiej. Głównym terenem jego zainteresowań jest historia zakulisowa literatury, widziana od strony biograficznej. Ostatnio najwięcej uwagi poświęcił Wielkopolsce, o której powiedzieć można, że jest *terra incognita* w swych dziejach najnowszych. Nowaczyński powziął dobrą myśl zagrzania Wielkopolan, aby się zajęli sprawami kultury. W „Kurierze Poznańskim" zamieszcza jeden po drugim bardzo interesujące szkice historyczne, na motywach wielkopolskich oparte.

Obecnie firma „Drukarnia Polska" („Kur. Pozn.") wydała swym nakładem pierwszy tom tych jego szkiców. Tytuł „Warta nad Wartą". Szkiców w tym tomie jest 27. Niebawem ujrzymy pewno tom drugi. Książka niezwykle interesująca. Dajemy obecnie tylko zawiadomienie, że już się pojawiła.

*

Głoszono, że ze śmiercią Or-Ota zeszły do grobu i wspomnienia o starej Warszawie i jej dawnych ludziach. Tymczasem mniemanie to mylne Mamy przecie odtwórcę legend starej Warszawy w osobie poety Stefana Godlewskiego; mamy zasłużonego zbieracza i znawcę pamiątek warszawskich Aleksandra Janowskiego; mamy Kazimierza Kinarskiego, który wiedzę historyka połączył z talentem beletrystycznym, tworząc na tle Warszawy powieści historyczne, należące do najlepszych w naszej literaturze. Do zastępu tych miłośników Warszawy, którzy miłość swą ujawniają zręcznym piórem beletrysty, należy i Franciszek Galiński, który swoje „Gawędy o Warszawie", drukowane w formie feljetonowej po pismach, zebrał obecnie w sporym tomie, pięknie wydanym przez „Bibliotekę Polską". Do upiększenia szaty graficznej przyczynił się walnie sam autor książki, dając sporo ciekawych ilustracyj z własnych zbiorów, gdzie znajdują się często nieznane rysunki Andriollego, Ilinicza, Kostrzewskiego.

Same „Gawędy" Galińskiego pod niejednym względem przypominają na podobny temat tworzone feljetony nieodżałowanego A. Brezy (Vieux Polonais). Podobnież mieszają się tu *seria iocosis*; nieraz od łez i grozy przechodzi autor do wesołości i żartu, powstrzymując się jednakże przed konceptem pieprznym — choć ma czasami na niego ochotę. Podobnie też umie Galiński gawędzić lekko i swobodnie, nie troszcząc się niby o strukturę opowieści, a w gruncie rzeczy sprzęgając fakty silnie końcową pointą. Rozpiętość historyczno-chronologiczna jest tu wielka: od XIII w. po chwile najnowsze. Zasila się autor źródłami najrozmaitszymi: kronikami, materiałami archiwalnymi, poezją i beletrystyką (Jarzębski, Brodziński, Słowacki), a wreszcie i wspomnieniami własnymi. Mimo kilku szczegółów, o które możnaby się spierać, całość jest godna czytania, ciekawa i pouczająca.

(J. B—r.)

*

Nakładem Instytutu Śląskiego ukazała się praca Stanisława Bąka „O zbieraniu materiałów gwarowych na Śląsku" z przedmową prof. dr. K. Nitscha. (Katowice 1937. Str. 36).

Praca d-ra Bąka, pierwszorzędnego dialektologa — jak stwierdza w przedmowie prof. Nitch—wypełnia dotkliwą lukę naszego piśmiennictwa regionalno-lingwistycznego. Praca ta zawiera wskazówki, w jaki sposób należy zbierać i notować materiały gwarowe ludu śląskiego. Poza tym jednak ocenia różne pseudo-naukowe twierdzenia niemieckie o języku polskim na Śląsku. Praca ta musi zainteresować wszystkich, których interesują właściwości językowe naszego ludu i chcieliby nauczyć się metody ich zbierania.

NOWE KSIĄŻKI

Komarnicki Wacław dr. prof. Ustrój państwowy Polski współczesnej. Geneza i system. Wilno 1937. Str. VIII i 443.

Galicz Jan. Z minionych lat. Cieszyn 1937. S, 149.

Birkenmajer Aleks. Astronomowie i astrologowie śląscy w wiekach średnich. Katowice 1937. Inst. Śląski. Str. 40.

Groza Al. Zagadnienie elektryfikacji na Śląsku. Katowice 1937. Inst. Śląski. Str. 66.

Ignaszewski Janusz. Przemiany strukturalne w hutnictwie żelaznym. Katowice 1937. Str. 24.

Nowaczyński Adolf. Warta nad Wartą. Poznań 1937. Nakł. Druk. Polskiej. Str. 245.

Popowska Jadwiga. Przed nocą. (Poezje). Poznań 1937. J. Jachowski.

Doroszewski Witold dr. Myśli i uwagi o języku polskim. Warszawa 1937. M. Arct. Str. 136.

Parnicki Teodor. Aecjusz ostatni Rzymianin. Powieść historyczno-biograficzna. Warsz. 1937. „Rój".

Przegląd Współczesny, październik.

Turnau Stefan. Ku lepszej przyszłości. Zbiór wykładów społecznych. Poznań 1937. Rada społ. przy Prymasie Polski. Str. 163.

Kubisz Paweł. Przednówek. (Poezje). Czeski Cieszyn (1937). Śląski Związek Liter.-artystyczny w Czechosłowacji.

Ruszczyc Ferdynand. Liść wawrzynu i płatek róży. Przemówienia. wykłady, odczyty, artykuły. Wydanie pośmiertne pod redakcją i z ilustracjami Jana Bułhaka. Wilno 1937. Nakładem St. Turskiego. Skład u Św. Wojciecha. Str. 213 i XVIII.

POKŁOSIE

PIENIĄDZE NIE CUCHNĄ

W PIERWSZYCH latach zagarnięcia władzy przez bolszewików w Rosji i wprowadzenia przez nich ustroju komunistycznego nie brakło przepowiedni, że system ten załamie się lada chwila. Przewidywania się nie sprawdziły, a przyczyn utrwalania się ustroju jest nie mało, ale nie ulega wątpliwości, że jedną z nich i to nie najmniejszą jest wydatne poparcie, użyczone komunizmowi przez jego rzekomo zasadniczego wroga, kapitalizm zachodni.

Pomińmy kokietowanie Lloyda George'a i niemiecki traktat w Rapallo, były to akty polityczne, ale nie brak przecież działań czysto ekonomicznych, pomocy i wprost współpracy świata kapitalistycznego w budowaniu i usprawnieniu gospodarki komunistycznej.

Po zakończeniu wojen domowych i klęsce w Polsce bolszewicy zaczęli „urządzać" się wewnętrznie. Jednym z pierwszych aktów było usiłowanie przyciągnięcia kapitalistów zachodnich przez przyznanie pewnych gwarancji tym, którzy zechcą włożyć nowe kapitały i uruchomić skonfiskowane i zrujnowane przedsiębiorstwa przedwojenne. Ten krok sowietów nie miał zbyt wielkiego powodzenia z powodu małej ustępliwości bolszewików ze swoich pretensji, ale nie o to chodzi: zasadniczą rzeczą jest, że kapitał zachodni bynajmniej nie zachował się odpornie, przeciwnie wykazał wielką chęć do pertraktacji z komunistami.

Przyszła nowa faza. Lenin wydał nowe hasło; „elektryfikować Rosję". Dostrzegł w tym wielkie szanse i wagę w uprzemysławianiu i kolektywizacji Rosji. Do wykonania tego postulatu sowiety sił nie miały, ani finansowych, ani technicznych, przynajmniej w takiej mierze, żeby sprawa mogła się szybciej posuwać. Ale z chętną pomocą pospieszył kapitał zagraniczny. Więc ogromną elektrownię wodną na Dnieprze *„Dnieprostroj"*, największą w Europie, która stała się pomocą w skutecznej propagandzie komunizmu poza granicami Rosji, zbudował kapitał amerykański w ogromnej części, dając kredyt na maszyny i pomoc techniczną swoich inżynierów przy projektowaniu i wykonaniu tego dzieła.

Kapitał amerykański, przynajmniej jego część, kierowana przez wielkich kapitalistów żydowskich, którzy popierali rewolucję w Rosji od samego początku, odegrał w budownictwie komunistycznym znaczną rolę, ale nie tylko on. Każdy dowiedział się z głośnych procesów, że wiele zakładów zbudował i kierował nimi kapitał konserwatywnej, monarchicznej u siebie Anglii. Udział cudzoziemskich, angielskich, niemieckich i in. specjalistów w budowie Magnitogorska, tworzeniu Kuznieckiego okręgu, itd. jest olbrzymi. Wszystkie działy gospodarstwa sowieckiego zatrudniają licznych specjalistów zachodnich, dobieranych z pośród osób wysoce kompetentnych. Cała kolektywizacja i mechanizacja wsi rosyjskiej umożliwiona została tylko dzięki tej współpracy.

Pieniądz nie cuchnie, trzeba go zgarniać gdzie się da — takie jest powszechnie obowiązujące hasło kapitalizmu i dziś, mimo ustawicznie głoszonej przez Hitlera krucjaty przeciwko komunizmowi nic jakoś nie słychać o powstrzymaniu się przez Niemców od stosunków ekonomicznych z sowietami.

Współpraca kapitału zachodniego z barbarzyńcami na wschodzie nie ogranicza się do dziedziny tylko gospodarczej, obejmuje już wprost rozbudowę sił wojennych komunizmu. W październikowym numerze „Przeglądu Lotniczego", miesięcznika wydawanego przez Dowództwo Lotnictwa, znajdujemy artykuł streszczony z niemieckiego *„Militärwissenschaftliche Rundschau"* zawierający szczegółowe dane o lotnictwie sowieckim, oparte jak się zdaje na dobrych informacjach. Otóż tam powiedziano między innymi, że Rosja sowiecka „uzyskała licencje najlepszych obecnie silników lotniczych, mianowicie francuskiego *„Gnome Rhone K. 14"*, francuskiego *„Hispano-Suiza 12 V"*, angielskiego *„Bristol"* i amerykańskiego *„Wright Cyclone"* i natychmiast zebrała się do seryjnej budowy tych napędów przy wprowadzeniu olbrzymich środków".

Tak więc mamy tu cały bukiet z Europy i Ameryki spieszących za dobry pewno grosz z ofiarowaniem swego dorobku technicznego na rzecz rozbudowy potęgi wojennej sowietów. A w Rosji wciąż jak na śmiech utrzymuje się, że państwa kapitalistyczne zaprzysięgły sowietom zgubę.

Kapitalizm odgrywa tu rolę tego przysłowiowego głupca, który podcina gałęź na której sam siedzi. Ale kto wie, może działa tu nieświadomie przeczucie, że komunizm jest tylko konsekwencją gospodarki kapitalistycznej. W każdym razie te zjawiska trzeba mieć w pamięci, gdy się szuka ostoi przeciw ideologii komunistycznej. Kapitalizm jej nie zastąpi.

ARGUS

Sprostowanie. W ostatnim artykuliku o loterii liczbowej wkradła się pomyłka: wydrukowano błędnie szansę wygrania na t. zw. *terno*. Szansa matematyczna zgrubsza obliczona wynosi 1 do 5832, a nie 1 do 822, jak wydrukowano, jest więc znacznie mniejsza.

NA MARGINESIE

Konserwatywnego „Słowa" wileńskiego każdy niemal numer jest teraz konfiskowany. W nr. 285 z cztero-szpaltowego artykułu wstępnego pozostał tytuł: „Brońmy konstytucji, brońmy prawa", a pod spodem: Cat.

Zostało jednak coniebądź z tekstu, mianowicie: ze środka jedno zdanie:

„Opinia i krytyka, chociażby najsurowsza i niesprawiedliwa, o ile nie zawiera faktów zmyślonych, lub obraźliwych wyrażeń, nie przekracza ram rzeczowych krytyki, przez prawo dozwolonych, i nie zawiera fałszywych wiadomości z art. 170 K. K."

Sapienti Cat. Widocznie nie przekonał.

*

W armii skonfederowanych pod wodzą wojewody Grażyńskiego związków będzie wiele młodzieży od lat 8 do 50. Wobec tego niezbędne się okazało złączenie ze Związkiem Nauczycielstwa. Nauczyciele będą wychowywać młodzież w obozie. Bo przede wszystkim kultura! Z „płomykiem" na sztandarze pójdą oni do walki, boć to kaganiec, o którym mówił Słowacki, że trzeba go nieść przed narodem.

*

Bywają takie stosunki, że człowiek ufny w bezpieczeństwo, jakie mu teoretycznie zapewnia ochrona prawa, i o to prawo się upominający — przypomina chłopca, który wybierał się do Afryki. Gdy go pytano, czy nie będzie się bał lwów,—odpowiedział:

— Będę przecież chodził trotuarem

Nowy tom pism Dmowskiego

„Polityki polskiej“ część druga

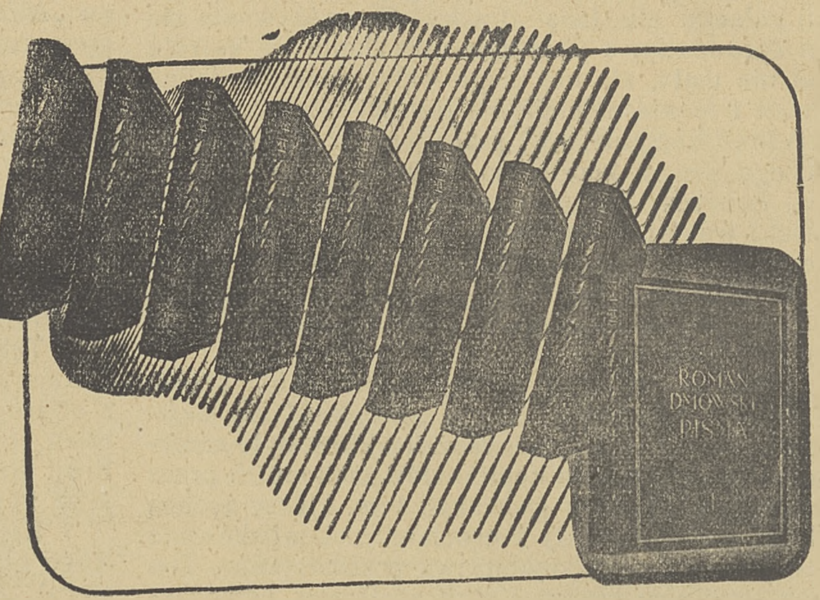
Świeżo ukazał się nakładem spółki wydawniczej Antoniego Gmachowskiego w Częstochowie ul. Dąbrowskieeo 59 nowy tom zbiorowego wydania pism **R. Dmowskiego.**

Jest to drugi tom tego wydania (w kolejności znakowania t. VI) i stanowi on część drugą słynnej **„Polityki Polskiej"** i treścią swą obejmuje dzieje powstawania Państwa Polskiego od roku 1917 do połowy 1919, zatem czasy Wielkiej Wojny i konferencji pokojowej w Paryżu.

Znakomite to dzieło czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem, jak najbardziej pociągająca opowieść.

Zasługą wydawców jest staranne wydanie książki. Tok opowiadania uzupełnia zbiór ważnych 12 dokumentów historycznych. Niebawem wyjdzie tom trzeci, który zawierać będzie znakomitą pracę R. Dmowskiego p.t. **Świat powojenny i Polska.**

Książki można nabywać w drodze prenumeraty.



CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ

„MYŚLI NARODOWEJ“

NA KWARTAŁ IV

PRENUMERATA WYNOSI:

Kwartalnie „ „ 9 zł.

Kwoty do 50 zł. przesyłać można za pośrednictwem P. K. O. lub bezpłatnie za pośrednictwem załączonych blankietów rozrachunkowych, które także można nabywać na poczcie w cenie 1 grosza.

Należy przypisać konto rozrachunku pocztowego Myśli Narodowej Nr. 98.



NAJMILSZYM I TANIM podarunkiem dla młodzieży będzie ilustrowana książeczka pod tytułem:

12000 MIL MORSKICH

dająca opis podróży po morzach: Bałtyckiem, Północnem i wodach Oceanu Atlantyckiego.

CENA 1 Zł. 20 gr. dla czytelników „Myśli Narodowej“ wraz z przesyłką pocztową. Można pieniądze nadsyłać wraz z prenumeratą do Admin. „Myśli Narodowej“ - konto czekowe 3105.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.